POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — *Dnia 2-go maja 1942r.* — **Rok IV. Nr. 18**

WSKAZANIA 3-go MAJA

"Vivat Sejm, vivat król, vivant wszystkie Stany! brzmi polonez Trzeciego Maja,"—oto nieśmiertelne słowa z mickiewiczowskiego koncertu Jankiela, które narzuciły jednolitą wizję Konstytucji Trzeciego Maja wyobraźni narodu polskiego. Utrwalił tę wizję wspaniały, skąpany w słońcu i radości, obraz matejkowski, nie wolny zresztą od pewnych historycznie krzywdzących szczegółów na rachunek, najwybitniejszego zresztą spośród późniejszych Targowiczan, oponenta Konstytucji—Suchorzewskiego. Ten zgodny ton poezji i barwy złożył się na wizję radosną i dumną, przechowywaną, a w miarę postępu czasu coraz bardziej kultywowaną w duszy polskiej.

Stało się to zaś słusznie! Na tle tylu bowiem fikcyjnych wiwatów dotychczasowej historiografii polskiej, radosna wizja Trzeciego Maja jest nie tylko wizją piękną i podniosłą, ale wizją rzetelną i prawdziwą. Wówczas bowiem dnia 3 maja 1791 dokonało się w dziejach Polski coś bezspornie pięknego i wielkiego. Jakby wielki akt pożegnalny byłej Rzeczypospolitej, z którego pięknem i prawdą poszliśmy w świat na tułaczkę legionową i powstańczą, umocnieni na duchu i sami przed sobą uprawnieni do żądania nowej, lepszej przyszłości.

Żaden może z uczonych polskich nie postawił Konstytucji Trzeciego Maja tak wysoko w hierarchii wiekopomnych polskich poczynań, jak właśnie prof. Oswald Balzer, gdy swą rozprawą o Konstytucji Trzeciego Maja zamknął około r. 1910 swą najcelniejszą epokę działalności. Był to bowiem okres prac nie tylko badacza o niesłychanej wprost wiedzy, ale jednego z najostrzejszych krytyków polskiej przeszłości. Balzer zmienił potem ze względów politycznych, a bez wystarczających podstaw naukowych, całkowicie swój pogląd ogólny na dzieje Polski i począł zwalczać namiętnie wszystkie swoje własne poprzednie wyniki badań. W zamknięciu jednak swego poprzedniego wielkiego okresu, wyznaczył właśnie Balzer Konstytucji Trzeciego Maja rolę słupa dziejowego, czy pomnika zwrotnego oddzielającego dawną Polskę, w której według jego własnych słów "było tak źle, że gorzej być nie mogło," od Polski nowej, Polski z ducha postępu i wolności.

Wtenczas to również właśnie Balzer potępił były naród szlachecki w słowach, których by dzisiaj żaden historyk polski nie odważył się powtórzyć bez uzasadnionego zarzutu obrazy narodu, by tym przygotować polskie myślenie narodowe na fakt narodzin nowego Polaka. Nowy ten typ Polaka zrodził się bowiem wówczas z idei i poczynań kół "stronnictwa patriotycznego," skupionego w zasadzie przy królu Stanisławie Auguście, choć właściwe formy i byt czynu odrodzonemu Polakowi dał dopiero niezłomny generał Henryk Dąbrowski.

Konstytucja Trzeciego Maja i cała działalność "stronnictwa patriotycznego" była dziełem niepełnym i nie wprowadziła żadnych rewolucyjnych zmian w duchu przewrotów dokonywanych na Zachodzie. Nie mniej głównie przez prawo o miastach, a częściowo przez pierwszą próbę wdania się prawa w polskie sprawy chłopskie, rozpoczęła drogę narodu i ducha polskiego ku nowemu światu, ku nowym ideom.

Wybitniejsze oczywiście były te nowe wartości polityczne, które Konstytucja Trzeciego Maja przyniosła w kierunku zorganizowania normalnego nowoczesnego państwa, państwa, które z chaosu tradycjonalnej reakcji poczęło się wydobywać ku nowoczesnym zdrowym stosunkom. Ta dalej idąca jednak część Konstytycji 3 Maja właściwie nie zdołała nigdy wejść na dobre w życie!

Wraca w ucho polskie przy słowie "Trzeci Maja" stale radosny polonez Trzeciego Maja, ale jak Mickiewicz nie mógł odtworzyć poetycko wspomnień o tym radosnym dniu bez łączenia ich z "sykiem węża" Targowicy, tak dzisiaj nie można, co więcej nie wolno nam wżywać się w ten uzasadniony pean historyczny Trzeciego Maja, bez powiedzenia sobie samemu słów prawdy o tejże Targowicy. Prawda ta musi być równocześnie wypowiedziana, gdyż inaczej wspomnienia i pamięć o Konstytucji Trzeciego Maja nie będą mogły spełniać w Polsce tej pedagogicznej roli wobec potomnych, jaką spełniać powinny.

Nie kto inny, ale właśnie Sienkiewicz, dojrzawszy duchowo i historycznie, włożył w usta jednej ze swych postaci powieściowych słowa związane z czasami Konstytucji Trzeciego Maja: "Po co mówić ciągle o dobrych, kiedy było tyle więcej złych." Cytuję z niedokładnej pamięci, ale w tych słowach jest to najważniejsze, co powiedziane być powinno, jeśli chcemy pisać dla pożytku narodowego, a nie dla popisu.

"Stronnictwo patriotyczne," t.j. twórcy Konstytucji Trzeciego Maja byli tylko słabą i poparciem króla stojącą grupą, walczącą o ratunek dla Polski nie tylko przeciwko obcym, ale przede wszystkim przeciwko swoim, opętanym w większości hasłami frazesów o niebezpieczeństwie narodowym, świętości tradycji i obronie przez nikogo nie zagrożonej religii. Stronnictwo hetmańskie Szczęsnego Potockiego, Branickiego i Seweryna Rzewuskiego, zwące się oficjalnie "stronnictwem narodowym," miało w zasadzie olbrzymią większość ówczesnej opinii polskiej za sobą. Na 509 posłów i senatorów Sejmu Czteroletniego, uprawnionych i powołanych do głosowania, Konstytucja Trzeciego Maja otrzymała faktycznie zaledwo 92 czy 96 głosów. Na 55 poprzednio w r. 1790 konsultowanych sejmików tylko 5 oświadczyło się za dziedzicznością tronu, czyli najistotniejszym punktem Konstytucji Trzeciego Maja. Tak wyglądała rzeczywistość ówczesna!

Czyż więc te 80 do 90% narodu szlacheckiego, głosującego przeciwko niezbędnym i zbawiennym reformom, które się potem z większością byłych Konfederatów Barskich na czele znalazły z entuzjazmem w szeregach Konfederacji Targowickiej, były zdrajcami i wrogami samego siebie, to jest Polski? Niewątpliwie nie, tak jak niewątpliwie wśród tych 80% było bardzo wielu pospolitych zdrajców, służących dla zysków napuszonym hasłom, podsuwanym przez agenturę rosyjską. Olbrzymia ta większość narodu szlacheckiego szła po prostu na lep płytkich, górnych, słowami "naród, wiara, tradycja" przeładowanych frazesów, szła na lep tych frazesów w najlepszej wierze i w najlepszej wierze unicestwiła dzieło grupy, która chciała zreformować państwo w imię postępu, nowych idei i konieczności politycznych.

Nie wolno bowiem czytać aktu Konstytucji Trzeciego Maja bez tekstu Manifestu Konfederacji Targowickiej z 14 maja 1792 przed oczyma. Słynny ten manifest wyszedł z pod pióra Dyzmy Bończy-Tomaszewskiego, później zresztą honorowego członka Uniwersytetu Wileńskiego. Zaprawdę nie znam w całej literaturze polskiej manifestu, napisanego z taką siłą i rozmachem tradycyjnej tromtadracji, a w imię najwznioślejszych słów i haseł, jak manifest Konfederacji Targowickiej. Nigdy chyba w dziejach ludzkich tak piękne słowa, taki huragan najpodnioślejszych wyrażeń w imię wiary, narodu i tradycji, nie przyniosły tak nikczemnie tragicznych skutków, jak manifest Targowicy wówczas w 1792 roku, będącego faktycznym końcem przepotężnej Rzeczypospolitej.

"Syk węża" bowiem Targowicy na tle podniosłego poloneza Trzeciego Maja, to ten morderczy dla duszy i dla dziejów polskich syk płytkiego, a górnolotnego frazesu, tromtadrackiej megalomanii. Ten "syk węża" w formie pseudopatriotycznego frazesu był katastrofą duszy polskiej XVIII-go wieku, a odżywa on potem raz za razem, rzadko w wieku XIX-ym, a natomiast często w wieku XX-ym.

Nie wińmy zbytnio jednak ludzi, ani słów, nie mniej patrzmy stale na skutki działań ludzkich, bo historia osądza zawsze wszystkich tylko na podstawie rezultatów. Matejko wymalował i przekazał tradycji głównego oponenta Konstytucji Trzeciego Maja, który próbował na sali sejmowej naśladować Rejtana,—Suchorzewskiego z kartami, wypadającemi z kieszeni! W rzeczywistości Suchorzewski był osobiście jednym z rzadko prawych podówczas ludzi, był autorem najważniejszej ówczesnej reformy, bo ustawy o miastach, a gdy potem zobaczył skutki Targowicy, do której należał, to jeden z niewielu przeszedł poprzez Moskali zbrojną ręką zagranicę, nie chcąc pozostać w tej Polsce, której upadek zgotował. Nie wystarczy bowiem kochać Polskę i dobrze chcieć dla ojczyzny, trzeba umieć dla tej ojczyzny nie tylko chętnie i ofiarnie, nie tylko krwia, lecz przede wszystkim *mądrze* pracować i walczyć.

W roku 1936 przytoczyłem za prof. Skałkowskim w swej książce fakt, że lepsi spośród Targowiczan, widząc potem skutki swej działalności, kazali sobie na grobie wypisać "*stulta nobis mens, non scelerata fuit*" /zamysł nasz był nierozumny, ale nie zbrodniczy/. Cytując to bicie się w piersi Targowiczan, ostrzegałem wówczas przy tych słowach przed grożącą i nadchodzącą dla nas przyszłością. Stwierdziłem wówczas, że po doświadczeniach XVIII-go wieku nie wolno nam będzie drugi raz usprawiedliwiać się przed sądem potomnych "głupotą" czyli błędami politycznymi, popełnionymi w dobrej wierze i dobrej intencji.

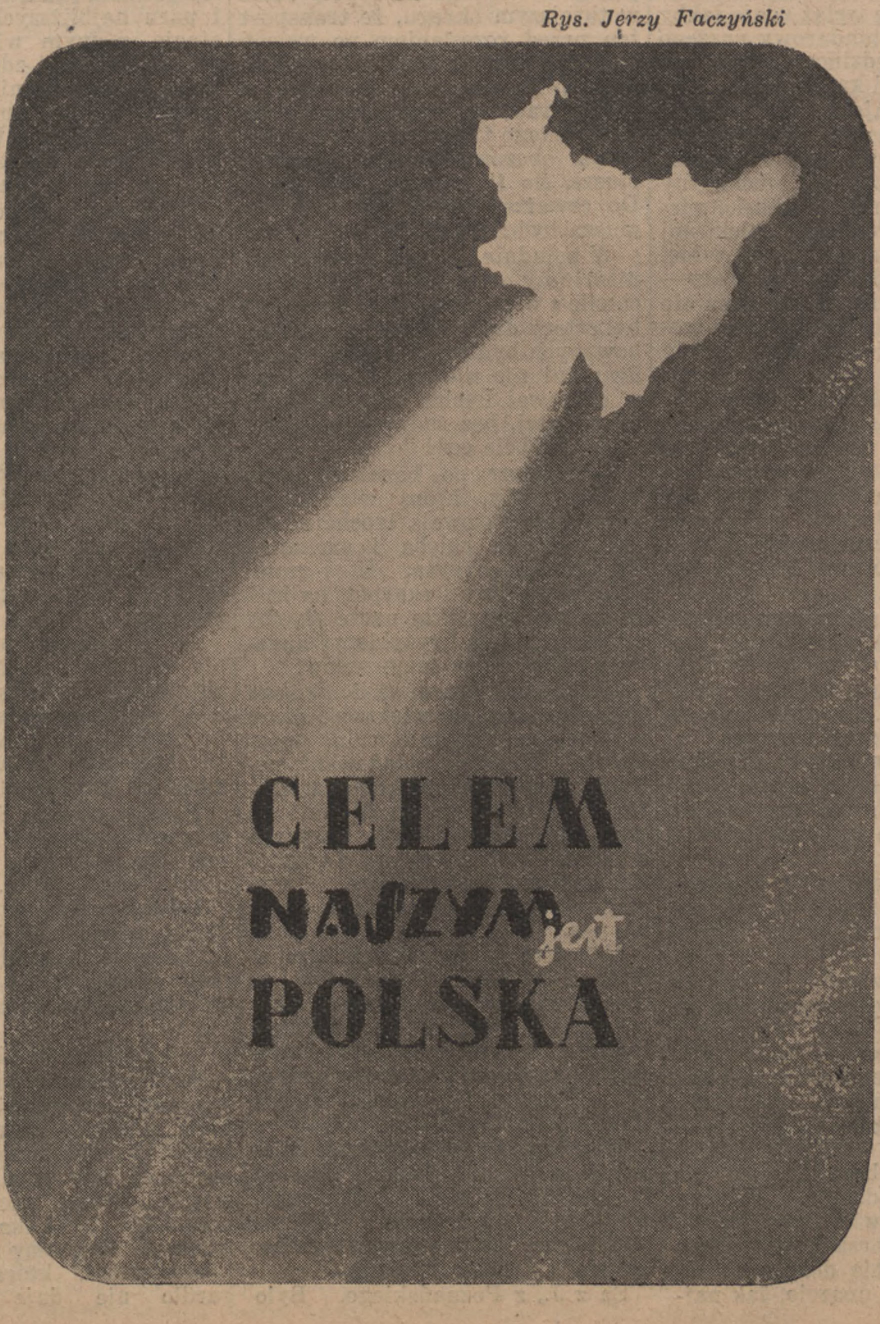
W obliczu bowiem wspomnień zarówno promiennej Konstytucji 3 Maja, jak niezamierzonego na szkodę Polski "syku węża" Targowicy, winien Polak dorocznie powiedzieć sobie samemu, bijąc się w piersi:

W tej wyjątkowo ciężkiej sytuacji politycznej Polski, nie wystarczy pracować dla Niej ofiarnie i w dobrej intencji, gdyż trzeba dla tej Polski walczyć i pracować—mądrze, z obliczeniem możliwości i skutków.

OLGIERD GÓRKA

Od kilku dni przebywają wśród nas dwaj znakomici żołnierze, wsławieni walką i wysiłkiem organizacyjnym: gen. Anders, Dowódca Polskich Sił Zbrojnych w Z.S.R.R. i gen. Kopański, Dowódca Brygady Strzelców Karpackich. Z Ich imionami łączą się najbardziej trudne i tragiczne, wzniosłe i pełne najdroższej nadziei epizody naszego udziału w tej wojnie: walka, klęska, niewola i tułactwo, zbieranie się w szeregi na obcej ziemi, nowa walka, niezłomna wola zwycięskiego przebijania się ku Ojczyźnie. To wszystko wcielają, to wszystko symbolizują dla nas i dla świata dwaj Generałowie, którzy są gośćmi Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii. Towarzyszy Im tu nasz podziw dla męstwa, siły charakteru i woli, towarzyszy Im tu poczucie głębokiej jedności, naszej wierności nakazom, której Oni dowiedli już czynami najwyższej żołnierskiej miary.

Rys. Jerzy Faczyński



Trzeci Maj (Warszawa, 1891)

Pan kurator się gniewa . . . Cisza w starym gmachu.
Na schodach siwy szwajcar dygoce ze strachu,
w "pryjomnej" drży sekretarz w granatowym fraku
pośród licznych petentów zbladłego orszaku.
Pan kurator się gniewa . . . Nie będzie "pryjomu"!
—Nie przyjmować nikogo! Odprawić do domu!

— — — — — — — — —

Cóż ci to, tajny radco? Zapachniało majem!
Młoda wiosna owładła "prywiślańskim" krajem.
Samowolna, na datę legalną nie zważa
i podrwiwa z starego stylu kalendarza.
W petersburskiej stolicy jeszcze mrozy prawie,
zimny kwiecień, a tutaj—tutaj maj w Warszawie?

Trzeci maj tchnie w ogrodach rozkwitłymi bzami!
Trzeci maj niebieskimi powiewa czapkami
po ulicach i placach! Z studenckich czwartaków
wylatują by roje rozćwierkanych ptaków,
a gdzie Starego Miasta piętrzą się facjatki,
kaszkiety rzemieślnicze stawają w gromadki.

Idą . . . Wiedzą, gdzie idą, dokąd i którędy,
choć nikt nie rzuca haseł, nie daje komendy.
Na próżno z rogów ulic niechętny stójkowy
łypie okiem z pode łba, niemy i surowy.
Już strumyki się łączą, kaskada się leje
tłumu w plac Aleksandra i dalej—w Aleje.

— — — — — — — — —

Ha, chytry rodzie laszy! Policmajster czuwa!
Wie Klejgels, dokąd tłum się podstępnie przesuwa!

W Botanicznym ogrodzie jest kopczyk nie duży,
niby nic—jedno drzewo, kilka krzewów róży,
lecz przecież buntownicza myśl w tym kopcu gości
Kołłątajów, Kilińskich—kościół Opatrzności!

Pan kurator z Klejgelsem wczoraj przebiegł ścieżki
i pokazał, gdzie będą studenckie zamieszki.
Pan kurator przewąchał, co się w głowach roi:
niech tu wejdą, a tron się carski nie ostoi!
Nie darmo od monarchy ma gwiaździste znaki.
—Otoczyć! Aresztować! Gdy trzeba — kozaki!

— — — — — — — — —

. . . A tłum płynie, jak fala, cicha i szemrząca,
rozkołysany hymnem wielkiego miesiąca,
prawdziwie w jeden akord skonfederowany.
Vivat Polska! I młodzież! Vivant wszystkie stany!
Aż niektóry ze starych, chociaż nie pochwala
tego "drażnienia rządu," synom iść pozwala.

Tłum, żołnierski odwagą, choć idzie bez broni;
dreszcz ofiary i męstwa z serca w serce dzwoni.
Zapłata za dziesiątki lat w przyziemnym pyle,
w lochach więzień moskiewskich, w rozpaczy mogile.
—Choć nie pognębim wroga gołymi rękami,
przecież krew nasza zbudzi lud, co pójdzie z nami!

—Dosyć! Nie idźcie dalej! Patrzcie, co się dzieje!
Zadrgały kłębowiskiem spokojne Aleje.
Prą na przód czarty zwinne na burych konikach,
w czerkieskach i papachach, w czerwonych baszłykach,
i nahajka kozacka spada, gdzie zamierzy.
—Hej, koledzy! Tratują! Bij, kto w Boga wierzy!

Lecą stołki z kawiarni, marmurowe blaty
na nahajki i konie, na dzikie sołdaty.
Przed "Sans-Souci" sam Klejgels pobladnął nadęty.
—Umieją i bez broni bić polskie studenty!
Aż nadbiegła policja, sprawdza matrykuły . . .
—Cóż! Cytadela pełna! "Odwodzić" w cyrkuły!

— — — — — — — — —

Pan kurator dokładnie przewidział "powstanie";
pan kurator od cara wziął podziękowanie.
Ale Klejgels wziął więcej: poznał, co to sława.
Nim pole bitwy rzucił, już cała Warszawa
w pogwiździe uliczników wołała:—Merci,
zwycięzco bohaterski, lwie z pod "Sans-Souci"!

* * *

O, miasto me, pogodne i w więzach niewoli,
coś tak umiało zadrwić z tego, co cię boli,
coś Trepowowi dało w twarz pod wodotryskiem,
a Mengdena zrobiło ludzkim pośmiewiskiem! . . .
Gdybyś dziś, znowu zdobne stolicy diademem,
witało Trzeci Maja nie w milczeniu niemem,
nie, jak na widowisko, szło na plac marsowy,
przed sztandarami raźniej odsłaniało głowy,
gdybyś i dziś, na każde narodu zaklęcie,
dało serce, co niegdyś biło w twym studencie—
królewski blask wolności padł by ci na lico
i była byś piękniejsza, Warszawo-stolico!

POSŁANIE Z DALEKA

Tak pobluźniłem kiedyś . . . Ty, skrwawiona matka,
wybacz te marne słowa, skalane goryczą—
któraś się nie ugięła przed ćmą napastniczą
i z granatami w ręku trwałaś do ostatka.

Nie mnie ci wić wawrzyny, ni za słowem gonić,
boś ty nad słowo wyższa i niepokalana.
Do twych Kamiennych Schodków przygiąć mi kolana,
żem ja—syn—nie powrócił, aby ciebie bronić.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

PRZYPISY

W r. 1891, w stulecie Konstytucji 3-go Maja, młodzież warszawska postanowiła zrobić manifestację uliczną, polegającą na tłumnym udaniu się do ogrodu Botanicznego i ukwieceniu znajdujących się tam fundamentów ślubowanego i rozpoczętego w dniu Konstytucji kościoła Opatrzności; kościół ten nigdy nie został wykończony.

Działo się to w okresie brutalnej polityki rusyfikacyjnej, kierowanej przez kuratora warszawskiego okręgu naukowego Apuchtina. Manifestacja odbyła się, powodując bójkę studentów z kozakami i policją w Alejach Ujazdowskich, pod cukiernią "Sans-Souci." Mnóstwo młodzieży aresztowano, relegowano z uniwersytetu i zesłano do Rosji, ale świadomość ulicy warszawskiej, przytłumiona latami po-powstaniowej niewoli, została znów rozbudzona. Ober-policmajstra Klejgelsa przezwano "zwycięzcą z pod Sans-Souci."

Trepow i Mengden—ober-policmajstrzy warszawscy z epoki powstania styczniowego. Trepowa na Starym Mieście spoliczkowała przekupka, co uwieczniono w ulicznej piosence; Mengden wydał nakaz chodzenia od zmroku z latarkami i opowiadania się rontom wojskowym. Mieszkańcy Warszawy na rosyjskie zapytanie: "Kto idiot?" /"Kto idzie?"/ odpowiadali: "Hengden idjot" /"Hengden idiota"/.

Wiersz "Trzeci Maj" został napisany w r. 1923, kiedy dużo mówiono o zaniku ducha patriotycznego w Warszawie. Autor, odtwarzając całkowicie tekst, uznał za konieczne dać wyraz swemu uczuciu względem rodzinnego miasta.

Trzeci Maja w Stalagu ***B

W kwietniu, gdy wiosenne słońce zaczęło leczyć nasze nabyte w zimie bronchity i reumatyzmy, postanowiliśmy przystąpić do zorganizowania obchodu 3 Maja i przemycić go pod pozorem koncertu. Oczywiście "*Gruppe III*" Komendantury Stalagu — Gestapowcy w żołnierskich mundurach pod niewinną nazwą "cenzorów obozowych"—wyczuliby od razu co się święci, gdyby koncert proponowany był na dzień 3 maja. To też nasz mąż zaufania, starannie wybrawszy dzień dobrego humoru szefa "*Gruppe III*" Hauptmanna B., wytargował pozwolenie na koncert na ostatnią niedzielę maja. Program *selbstverständlich* do ocenzurowania i "cenzorzy" obecni na koncercie. A próby—od czasu do czasu, wieczorami, na baraku 26. I już naszą rzeczą było, aby jedna z prób odbyła się przypadkiem 3-go Maja, żeby parę gorętszych słów powiedzieć, coś zadeklamować i zaśpiewać—coś, co *selbstverständlich* nie przeszłoby przez cenzurę Hauptmanna B.

Właściwie tylko chór potrzebował paru prób i nasz dyrygent zbierał swych śpiewaków daleko od utartych szlaków Niemców, na małej łączce za murowaną latryną.

Zastałem ich tam 3-go maja rano, ćwiczących półgłosem, pod strażą wystawionych czujek, nieodzowne "Witaj Majowa Jutrzenko." Ranek był ciepły, prawdziwie wiosenny; słońce rozpraszało ostatnie opary nad rzeką i bieliło krętą linię drogi widocznej poprzez wysoki zasiek kolczastych drutów. Wzgórza błyszczały soczystą zielenią ozimin a podmiejskie domki niedalekiego miasteczka—którego nazwę nosi nasz Stalag—ginęły w białych pióropuszach kwitnących drzew owocowych.

—"Idealna pogoda—prawdziwy Trzeci Maj"—komentowali śpiewacy, kręcąc w czasie przerwy papierosy.

—"Prawie dziewiąta godzina. Co roku o tej porze cechowy sztandar niosłem do Fary. A potem pochód . . ."—huczał tęsknym basem mistrz szewski z P., teraz "starszy" w warsztatach obozowych, zwolniony "na chorego," jak i większość śpiewaków, żeby mogli trenować rankami.

—"Drugi Trzeci Maja w niewoli, a mnie się wciąż zdaje jakby dziś: poczet sztandarowy naszego pułku na dziedzińcu przed dowództwem—pod kasztanami . . ."

—"Rozmarzajcie się, rozmarzajcie,"—przerywa wieczny burzyciel nastrojów — marynarz z Flotylli Pińskiej, popularny z powodu jedynej w obozie, pieczołowicie cerowanej błękitnej bluzy—"ten już swój cech widzi paradujący z dratwą do Fary—tamten piechocińców ustawia do defilady; jak się tak jeszcze trochę rozmarzycie, to cały pochód trzeciomajowy gotowiście zobaczyć na tej szwabskiej szosie!"

I tak się jakoś stało, że spojrzeliśmy wszyscy poprzez druty na drogę wiodącą wśród wzgórz do miasteczka i stacji kolejowej. Już się nikt nie odezwał. Staliśmy wpatrzeni, nieruchomi, gotowi uwierzyć w zbiorową hypnozę lub cud.

Drogą zbliżał się ku nam pochód. Czwórki za czwórkami dzieci, kobiet i mężczyzn w cywilnych ubraniach szły wolnym krokiem. Kilkaset osób. A gdy czoło zbliżyło się do drutów i mogliśmy już rozpoznać szkolne mundurki, połatane suknie i ubrania, a potem linię mundurów *feldgrau* zamykającą pochód, nie było już wątpliwości: to Polacy.

Kolumna minęła wejściową bramę Stalagu i niknęła powoli pomiędzy barakami łaźni, pralni i odwszawialni.

W obozie zawrzało. Wszystko to było tak nieprawdopodobne, że nawet plotka, która normalnie potrafiła wytłumaczyć każde zjawisko Stalagowego życia i obiec obóz z astronomiczną szybkością, tym razem w ogóle się nie narodziła.

Oczywiście do baraków łaźni nie można się było dostać. Eskorta kolumny wystawiła posterunki, oficerowie i porządkowi obozu z psami kręcili się dokoła. Staliśmy więc tylko uparcie, jak najbliżej: tłum jeńców rósł, i chociaż parę razy puszczano na nas psy—zbieraliśmy się ponownie.

Dopiero po jakiejś godzinie dowiedzieliśmy się wszystkiego: sanitariusz niemiecki idący na Polską Izbę Chorych poinformował nas źródłowo, że tych 300 osób to polscy *Freiwillige* na roboty rolne w tutejszym okręgu, że transport ten przed rozesłaniem po wsiach trzeba wykąpać, zbadać i zaszczepić. W powiatowym szpitalu nie daliby rady—nie spodziewali się tak licznego transportu—tutaj pomogą obozowi lekarze i sanitariusze, no i instalacje są lepsze. Do czwartej popołudniu wszyscy muszą być załatwieni.

W południe, jeden z polskich sanitariuszy przemknął się do nas na chwilę z wiadomością, że transport był cztery dni w drodze, w zaplombowanych bydlęcych wagonach, od dwu dni nic nie jadł i nic tutaj z obozowej kuchni nie dostanie. Są obdarci, bez żadnych bagaży.

—"Zróbcie coś!"

Zebraliśmy po barakach parę kubłów zupy, którą właśnie na nasz obiad fasowali, trochę menażek i łyżek, chleba i sucharów Czerwonego Krzyża. Ktoś zrobił zbiórkę bielizny i skarpet, na którą poszły wszystkie nasze skarby z takim trudem i ryzykiem ściągane z niemieckich magazynów.

Czekaliśmy potem aż do drugiej godziny, żeby się większość szarż wyniosła na sobotnie wolne popołudnie. Wreszcie obładowani, porządną kolumną, pod komendą szefa baraku—żeby wyglądało, że nam ktoś kazał nieść to wszystko do łaźni—ruszyliśmy we dwudziestu na linię posterunków. Udało się; wartownik zaledwie spojrzał na nas.

Pierwsze grupy właśnie wychodziły z baraku odwszawialni na plac pomiędzy magazynami, lekarze, parę sióstr z powiatowego szpitala i urzędnicy "*Arbeitsamtu*" zajęci są jeszcze w budynku. Możemy spokojnie dzielić strawę i pomówić.

Wszyscy są oszołomieni, nieludzko zmęczeni i głodni. Niczemu już się nie dziwią. Jedzą zupę, apatycznie przyjmują bieliznę i obojętnie, jakby rzecz naturalną, opowiadają swoją historię.

Są z J., z Poznańskiego. Było wezwanie do ochotniczego wyjazdu do Niemiec na roboty rolne. Nowy landrat chciał się popisać i zebrać więcej ochotników, niż inne powiaty. Zgłosił się jeden, jedyny ochotnik. Potem jeszcze jedno wezwanie, a potem—cztery dni temu—poszła obława: zabierali wszystkich, jak kto stał, w mieście i paru najbliższych wsiach. Na stację, późnym wieczorem, przyjechał landrat i zdecydował, że za mało tych ochotników. Już od dawna ciężko znaleźć Polaków w Poznańskim. Więc uzupełnili do 300 osób starcami i dziećmi, wyciąganymi przez policję z łóżek.

Z baraku wychodzą nowe grupki; większość stanowią kobiety: dziewczynki—chyba nie więcej, niż 10-cio letnie—z zapłakanymi oczami, podlotki w wyszarzałych pensjonarskich mundurkach o wyblakłych odznakach, wiejskie dziewczyny o mocnych, wyrazistych twarzach i spracowanych rękach i starsze panie w miejskich sukniach. Wśród mężczyzn są tylko chłopcy po 12-16 lat i starsi ludzie po pięćdziesiątce. Najstarszy z nich, siwy staruszek—to właśnie ten, jeden jedyny ochotnik. Odsuwa menażkę, którą mu podaję i mówi z trudem, prawie szeptem:

—"Nie mogę—astma dusi, panie kochany . . . Na ochotnikam się zgłosił—dwóch synów w niewoli—dwóch najmłodszych już dawno—zabrali na pracę. Myślałem, że choć—nim ta astma zadusi—może ich gdzie spotkam . . ."

Pani w ciężkiej żałobie, o marmurowo spokojnej twarzy, namawia córkę—młodą delikatną panienkę—by jadła. Urzędnicy "*Arbeits-amtu*" wypisujący przydziały, powiedzieli jej przed chwilą, że córka pojedzie osobno. Ale pani w żałobie nie płacze. Dziękuje nam uśmiechem i ręce ściska i mówi:

—"Trzymajcie się chłopcy."

Parę minut przed czwartą ściągnęli posterunki i eskorta poczęła ustawiać kolumnę. Co raz więcej jeńców przemyka się jak najbliżej, żeby choć parę słów zamienić, twarzy może znajomych poszukać i kilka papierosów wcisnąć. Żegnamy się, ale gorycz i wściekłość, która chwyta za gardło nie daje sformułować ciepłych słów pociechy.

Astmatycznego staruszka—tego, co na ochotnika przyjechał—wywołują z kolumny. To jedyny, zwolniony przez niemieckich lekarzy, jedyny uznany za niezdolnego do pracy. Wartownik zabiera go na stację—pojedzie do domu.

Dwóch cywilnych doktorów wychodzi z polskim lekarzem-jeńcem, kapitanem S. Nasz kapitan zawsze spokojny i opanowany—teraz gestykuluje gorąco, coś tłumaczy, pokazuje na parę szeregów najmłodszych dzieci. Niemieccy lekarze kręcą głowami, a gdy podeszli bliżej, słyszę, jak jeden z nich mówi zimno, uprzejmie" . . . *aber das sind doch Freiwillige Herr Stabsarzt!*" /. . . ależ, panie doktorze to są ochotnicy!/. Nasz kapitan woła donośnie, najpierw po niemiecku—potem po polsku:

—"Ci co na ochotnika przyjechali—ręka do góry!"

W ciszy, która zapanowała—kolumna stoi nieruchomo. Jeszcze raz to samo wezwanie. Nikt nie podniósł ręki. Kapitan patrzy w twarze niemieckich doktorów—zdaje się. że chce coś powiedzieć, ale tylko gest ręką zrobił, gest, w którym było tyle samo pogardy, co bezsilności i zniechęcenia. I odszedł bez słowa.

Ktoś krzyknął niemiecką komendę, która zabrzmiała, jak klaśnięcie bata. Ktoś w kolumnie zapłakał. Pochód ruszył.

Trzecio-majowy pochód 1941 roku w Stalagu ***B.

* * *

Nie zrobiliśmy już wieczorem obchodu, bo cóż mogło by mieć większy wyraz, cóż mogło by być pamiętniejszego od tego pochodu niewolników, za którym długo patrzyliśmy poprzez kolczaste druty, jak nikł nam wolno z oczu wśród zielonych wzgórz znienawidzonej ziemi—w wiosenne popołudnie Narodowego Święta.

I nie warto już było udawać prób i organizacji koncertu. Hauptmann B. miał dzięki temu dobrą okazję do powiedzenia paru trafnych uwag o polskim słomianym ogniu i wykazania jak nisko stoi polska kultura. Nawet koncertu nie mogą urządzić!

*"KRIEGSGEFANGENER NO. ***"*

Por. "Wigilia w Stalagu ***B" w nr. 51-52 "Polski Walczącej" z r. 1941. W obu opowiadaniach, ściśle autentycznych, wszelkie wskazówki co do osób i miejsca są, ze zrozumiałych względów, jak najstaranniej usunięte.

Wojna na morzu



OCEAN SPOKOJNY I OCEAN INDYJSKI

Po klęsce na morzu Jawajskim, w której Sprzymierzeni stracili 5 nowoczesnych i silnych krążowników /"De Ruyter," "Java" /hol./, "Houston" /am./, "Perth" /austr./ i "Exeter" /bryt./ oraz 7 kontrtorpedowców /"Electra," "Encounter," "Jupiter," "Stronghold" /bryt./, "Pope" /am./, "Kortenear" i "Witte de Witt" /hol.//— Japończycy opanowali całkowicie morza na północ od Jawy, i dzięki temu, bez przeszkód wysadzili na tę wyspę ogromne desanty w kilkunastu punktach naraz i zajęli ją w niespodziewanie krótkim czasie.

Jak teraz wiadomo, admirał Doorman na czele swojej eskadry walczył po bohatersku, ale siły jego były niezrozumiale małe, wiecznie powtarzająca się choroba: brak dostatecznego wywiadu powietrznego i brak osłony powietrznej, rozstrzygnęły o losie bitwy morskiej i tym samym w warunkach tamtejszych, i o losach samej wyspy. Wywiad powietrzny Sprzymierzonych był tak niedostateczny i nieścisły, że /jak to opisuje George Weller, korespondent australijski w "The Daily Telegraph"/ krążowniki sprzymierzonych, pomimo odpowiednich urządzeń na pokładzie /garażów i katapult/, nie miały ani jednego hydroplanu, a "Catalina," która została wysłana z brzegu na wywiad, przyniosła dane nieścisłe, awizując 2 krążowniki japońskie zamiast 8 i 4 kontrtorpedowce zamiast 13. Natomiast wodnopłatowce japońskie podczas całej bitwy nieustannie krążyły ponad okrętami sprzymierzonych i, nie niepokojone, kierowały ogniem japońskim.

Poza tym Japończycy użyli w tej bitwie z powodzeniem zapory okrętów podwodnych, współdziałających z samolotami i krążownikami oraz zaskoczyli sprzymierzonych stosowaniem torped, które po swoim przebiegu nie toną, lecz zostają na powierzchni, służąc jako miny pływające. Na takiej torpedzie wyleciały, zdaje się, w powietrze krążowniki holenderskie: flagowy admirała Doormana "De Ruyter" i "Jawa," a zapewne natknąwszy się na taką samą unieruchomioną już torpedę wyleciał w oczach rozbitków holenderskich z k.t. "Kortenear"—duży kontrtorpedowiec japoński.

Trzeba przyznać jednak, że błędy po stronie Sprzymierzonych były wyłącznie strategicznej i zaopatrzeniowej natury. Wszystkie okręty walczyły bardzo dzielnie i do ostatka, a straty, zadane przeważającym siłom nieprzyjaciela przewyższyły straty własne. Japończycy stracili prawdopodobnie 5 krążowników i 9 kontrtorpedowców . . . Jednakże siły własne były tak małe, że w rezultacie Sprzymierzonym nie pozostało nic, prócz paru kontrtorpedowców amerykańskich /bardzo starej daty i słabo uzbrojonych, którym udało się cudem przedostać przez cieśniny Sunda/, a Japończycy opanowali teren, o który walczyli.

Po tej bitwie, po uprzednim opanowaniu doskonałej bazy w Singapore i po zdobyciu Rangoonu w głębi zatoki Bengalskiej, Japończycy rozpoczęli próbę opanowania Oceanu Indyjskiego. Oczywiście, że gdyby im się to udało również, gdyby uzyskali bezwzględną przewagę, losy Indji byłyby prawie przypieczętowane.

"PIERWSZA RUNDA" BITWY O OCEAN INDYJSKI

W pierwszej rundzie bitwy o Ocean Indyjski Japończycy uzyskali zwycięstwo.

W dniu 4 kwietnia b.r. bardzo silna eskadra japońska weszła na Ocean Indyjski, kierując się na Ceylon. Siły nieprzyjacielskie składały się najmniej z 3 okrętów liniowych, /pomiędzy nimi jeden ze zmodernizowanej klasy "Nagato"—33,000 ton, 26 węzłów, 8 dział 16 calowych/, 5 lotniskowców oraz dużej ilości ciężkich i lekkich krążowników w eskorcie kilku flotyll kontrtorpedowców.

Porty Colombo i Trincomalee zostały gwałtownie zaatakowane z powietrza. Kilkadziesiąt japońskich samolotów strącono, lecz zginęło również wiele brytyjskich samolotów myśliwskich. Urządzenia portowe oraz nieliczne okręty, znajdujące się w porcie, zostały poważnie uszkodzone lub zniszczone.

Największe jednak straty ponieśli Brytyjczycy na morzu. Idące, zdaje się, w awangardzie silnej eskadry brytyjskiej admirała Sir James Somerville 2 krążowniki "Dorsetshire" /sławny z bitwy z "Bismarckiem." Z jego pokładu została wystrzelona ostatnia torpeda na niemieckiego olbrzyma—*coup de grâce*/ i "Cornwall" /oba po 10,000 ton, typu "waszyngtońskiego" po 8 dział 8 calowych, o bardzo słabym opancerzeniu/ zostały zatopione w ataku powietrznym japońskich bombowców nurkujących.

"Nie mogę Panom dać dokładnych danych o sile, którą rozporządza admirał Sir James Somerville na Oceanie Indyjskim bez ryzyka dostarczenia nieprzyjacielowi pożądanych przez niego informacji"—oświadczył Churchill w Izbie Gmin w dniu 13 kwietnia.—"Nie mogę też wyjaśnić Izbie dlaczego admirał Somerville użył w ten, a nie inny sposób okrętów, za których właściwe użycie jest w pełni odpowiedzialny. Nie wydarzyło się dotąd nic takiego, co by osłabiło zaufanie Admiralicji do tego dzielnego i wypróbowanego w bojach admirała /Admirał Somerville był przedtem dowódcą eskadr w Gibraltarze.—przyp. red./ Muszę jedynie dodać, że jest zupełnie niemożliwe robić posunięcia na morzu z nieustającą eskortą powietrzną dla wszystkich brytyjskich okrętów. Wiele przedsięwzięć każdego dnia marynarka brytyjska musi wykonywać bez takiej osłony. Jeżeli jednak musimy się narażać na takie ryzyko to wynika to z ogromu zadań, które spoczywają na barkach brytyjskiej marynarki wojennej, czy to w prowadzeniu konwojów, czy to w walce na morzach całego świata."

Według danych, ogłoszonych przez źródła niemieckie i włoskie w końcu marca b.r. miały rzekomo przejść mimo Przylądka Dobrej Nadziei w kierunku Oceanu Indyjskiego 4 okręty liniowe brytyjskie w towarzystwie poważnej flotylli lotniskowców, krążowników i konrtorpedowców. O ile informacje te są prawdziwe okaże przyszłość i wyniki walki na Oceanie Indyjskim, na którego dnie leży klucz do Indii, Persji i do najgorszej z możliwości wojennych, do tego, aby "osiowcy" mogli sobie podać ręce poprzez morza.

W tym samym czasie, gdy bombowce nurkujące atakowały "Dorsetshire" i "Cornwall" w innym miejscu, na południe od Colombo, samoloty japońskie zaatakowały i zatopiły lotniskowiec brytyjski "Hermes." /Budowa z r. 1919; 18,000 tonn, 25 węzłów, 20 samolotów./ Stało się to w czasie, gdy był on pozbawiony swych samolotów, wysłanych na obronę Colombo.

MORZE ŚRÓDZIEMNE

Pewną rekompensatą dla Sprzymierzonych było nowe powodzenie na Morzu Śródziemnym. Brytyjski okręt podwodny "Triumph" zatopił włoski krążownik typu "Bolzano" /10,000 tonn/, a w świetnej akcji morskiej eskadra Morza Śródziemnego, pomimo gwałtownych ataków powietrznych niemieckich i włoskich samolotów, oraz pomimo próby "wypadu" floty włoskiej, zdołała doprowadzić z bardzo małymi stratami wielki konwój transportowców do Malty. Nieszczęsna wyspa jest bezustannie bombardowana z powietrza przez lotnictwo niemiecko-włoskie, a domy zburzone na Malcie liczą się nie na tysiące, ale na dziesiątki tysięcy. Twierdza jednak stoi nienaruszenie i baza morska trwa. Jej znaczenie jest olbrzymie.

Sądząc z gwałtownych ataków powietrznych na Maltę, oraz wnioskując z podejrzanych ruchów lotnictwa niemieckiego nad Dodekanezem, jak też sądząc z koncentracji wojsk spadochronowych niemieckich na Krecie i na Rodos "Osiowcy" przygotowują się do większej akcji powietrzno-lądowo-morskiej na Morzu Śródziemnym w kierunku: Syria, Egipt.

NA ATLANTYKU PANUJE GROZA

Prasa brytyjska i czołowi mężowie stanu Wielkiej Brytanii i Ameryki bynajmniej nie ukrywają, że wiosenna ofensywa niemieckich okrętów podwodnych zadaje Sprzymierzonym wielkie, nawet bardzo wielkie straty w tonażu statków handlowych, topionych bez miłosierdzia. "Zakres" działań podwodnych nieprzyjaciela rozszerzył się bardzo przez wstąpienie Ameryki do wojny, oraz mniejsze doświadczenie konwojenckie nowych sprzymierzonych. To też w chwili obecnej największe straty ponoszą Jankesi, a wybrzeże obu Ameryk jest widownią istnych polowań na konwoje i pojedyńcze statki.

Niemcy jednak nie ograniczają się do topienia statków państw wojujących, ale topią wszystko, co się pojawi na horyzoncie. W ten sposób w ostatnich czasach poszło na dno wiele statków brazylijskich, argentyńskich oraz innych państw "neutralnych" Ameryki Łacińskiej. Fala gwałtownego oburzenia i gniewu zalała zwłaszcza Brazylię, którą niesłusznie posądzano dotąd o sympatie "faszystowsko-nazistowskie." Syn mój pisze z Brazylii:

—"Ludność naszego miasta urządziła /jak i w innych miastach brazylijskich/ wspaniałą i gorącą manifestację "antyosiową." Wybito szyby i potłuczono neony w jakich może 200 sklepach niemieckich i włoskich. W olbrzymiej drukarni-rotograwiurze niemieckiej, gdzie pracuje z górą 400 robotników połamano maszyny, wdzierając się do środka i drąc olbrzymie zapasy papieru. Zostały gołe ściany. W niemieckim sklepie manufaktury podarto na drobne paski kilkadziesiąt bel męskiego, wełnianego materiału na ubrania. W zrzeszeniach niemieckich i włoskich wyrzucono meble z 3 piętra na bruk, robiąc razem z książkami ogromne ogniska. Miasto przebiegały grupy ludzi, uzbrojonych w łomy, wyważając stalowe kraty ze sklepów i niszcząc całą zawartość. A przy tym trzeba przyznać, że owego 19 marca nie było prawie wypadków kradzieży. Taka była odpowiedź Brazylian na zatapianie ich statków."

Ale groźniejszą "odpowiedź" dali Niemcom Sprzymierzeni na samym oceanie. Niemcy nie ukrywają już, że ilość "zaginionych" okrętów podwodnych wzrasta z każdym dniem i obecnie całe serie niemieckich okrętów podwodnych przestały istnieć. Kontrtorpedowcom brytyjskim, polskim, amerykańskim "mdleją ramiona" od pracy przeciw okrętom podwodnym i prawie nie ma k.t. któryby nie mógł się poszczycić "prawdopodobnym" chociaż niemieckim podwodnikiem. Nie należą też do rzadkości tacy "szczęściarze" co przywożą do bazy po 2 i 3 załogi zatopionych okrętów podwodnych. Sławny zaś jest w całej flocie brytyjskiej kontrtorpedowiec, który nie tylko przywiózł załogi 2 okrętów podwodnych niemieckich na swoim pokładzie, ale jeszcze "przyciągnął na sznurku" prawie nieuszkodzony trzeci niemiecki okręt podwodny. W ten sposób przedefilował wzdłuż długiej rzeki, na której brzegach ciągną się nieskończone stocznie. Były one pełne wiwatujących robotników. Istotnie "triumf" godny rzymskich Cezarów.

Walka trwa. Zaciekła, nieubłagana, zimna, okrutna. Jakie będą jej wyniki trudno przewidzieć już dziś. Ale . . . przekonany jestem, że prędzej Niemcom wyczerpią się okręty podwodne, choćby nie wiem jak liczne, niż zostanie zniszczony tonaż amerykańsko-angielski, odbudowywany z szybkością i w ilości wprost nieprawdopodobnej. Chodzi więc tu bardziej może o ludzi. Ludzie, załogi okrętów, marynarze muszą wytrzymać, muszą wytrwać, topieni i tępieni, jak dzikie zwierzęta w trzebionej puszczy. Jeśli ludzie wytrzymają —wytrzyma i tonaż.

MARYNARKA FRANCJI

Wobec gwałtownych zmian politycznych we Francji i wobec dojścia do władzy zaprzedanego Niemcom Lavala, w chwili, gdy piszę te słowa rozważana jest możliwość /po raz nie wiem który/ użycia floty francuskiej po . . . stronie niemieckiej.

Siła jej obecnie jest bynajmniej nie do pogardzenia. Większość marynarki skoncentrowana jest w Toulon'ie. Znajdują się tam 2 najnowocześniejsze okręty liniowe "Dunkuerque" i "Strasbourg," "Dunkerque" już całkowicie naprawiony/ każdy po 26,500 ton, uzbrojony w 13 calowe, dalekonośne działa/ oraz stary okręt liniowy "Provance" /22,189 ton/ Są tam też ciężkie krążowniki "Algerie," "Colbert," "Foch" i "Duplex," uzbrojone w 8 calowe działa, 4 krążowniki, uzbrojone w 6 calowe działa, duża ilość kontrtorpedowców i okrętów podwodnych oraz 10,000 tonowy lotniskowiec "Commendant Teste."

W Dakarze znajduje się /podobno również już naprawiony/ największy francuski okręt liniowy "Richelieu" /35,000 ton/ wraz z 3 dalszymi krążownikami, uzbrojonymi w działa 6 calowe. W Casablance stoi "brat" "Richelieu" — okręt liniowy "Jean Bart"—nie posiadający jeszcze wprawdzie artylerii głównej, ale uzbrojony dosyć poważnie, aby się z nim poważnie liczyć. Na Martynice i w porcie Guadelupy znajdują się lotniskowiec "Bearn" /22,146 ton/ oraz "najnowocześniejszy krążownik świata," jak głoszą Francuzi /czy nie przesada?/: "Emile Bertin." Tam też znajduje się krążownik-okręt szkolny "Jeanne D'Arc."

Jak widzimy z tego pobieżnego zestawienia marynarka Vichy jest jeszcze bardzo poważna i użyta po tej czy po tamtej stronie mogłaby być czynnikiem, jeśli nie rozstrzygającym, to w każdym razie co najmniej "kłopotliwym." Amerykanie też pilnie obserwują wszelkie ruchy marynarki francuskiej i na ich zapewne barki spadnie "wyrównanie sił."

GROS FLOTY NIEMIECKIEJ W TRONDHJEM

Jak doniosły samoloty zwiadowcze R.A.F.—potężna eskadra niemiecka znajduje się obecnie w Trondhjem. Jest tam podobno "brat" "Bismarcka"—"Tirpitz," jest "kieszonkowy pancernik" "Admirał Scheer," okręt liniowy "Scharnhorst," dwa krążowniki; "Hipper" i "Prinz Eugen," oraz spora liczba kontrtorpedowców i okrętów podwodnych.

W jakim celu admirał Raeder skoncentrował tak znaczne siły morskie w północnej Norwegii trudno przewidzieć. Może to być równie dobrze "siła osłonowa" przeciw spodziewanej inwazji Norwegii przez Sprzymierzonych jak i "kułak" dla przecięcia drogi zaopatrzenia Rosji w czasie spodziewanej ofensywy wiosennej na wschodzie, jak i wreszcie . . . flota w celu szachowania Home Fleet w czasie inwazji Anglii. Amerykanie przypuszczają nawet atak na Islandię i na drogi łączności Stanów z Wielką Brytanią. Bez względu na to, jakie stawialibyśmy przypuszczenia, w szerokiej strategii obecność tej floty na północy bynajmniej nie jest na rękę Sprzymierzonym.

"GNEISENEAU" W GDYNI

Jak stwierdziły zdjęcia lotnicze uszkodzenia "Gneisenau," dokonane podczas słynnego "sforsowania La Manche" były na tyle poważne, że musiano z okrętu zdjąć, według raportu, 3/4 jego płyt pancernych. "Gneisenau" znajduje się w naszej Gdyni. Głębokość wspaniałego portu polskiego i jego dogodne położenie, naprowadziły admiralicję niemiecką na myśl, aby tam reperować nawet tak wielkie okręty jak "Gneisenau."

NAJWIĘKSZY OKRĘT PODWODNY ŚWIATA ZATONĄŁ

Największy okręt podwodny świata, słynny "Surcouf" nie powrócił w oznaczonym czasie i powinien być uważany za zaginiony, jak doniosło dowództwo floty Wolnych Francuzów w Londynie. "Surcouf" był doświadczalnym typem okrętów podwodnych i, zdaje się, budowa podobnych okrętów nie będzie w przyszłości powtarzana (2,880 ton, załoga 150 marynarzy, 2 działa 8 calowe, mogące strzelać podczas "półzanurzenia okrętu," 2 działa 37 mm. p.l., 10 wyrzutni torpedowych 21,7 calowych. Miał też ze sobą 1 mały, zwiadowczy wodnopłatowiec.)

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Nasza mała flota sprawuje się nadal dzielnie i jak może rozsławia imię Polski, co będzie miało swój skutek napewno, gdy "dyplomaci zasiędą przy stole przykrytym zielonym suknem." "Sokół" nadal "nie obniża fasonu," jak się wyraził pewien "urlopowicz," a "Kujawiak," po zatopieniu niemieckich transportowców w La Manche, o czym donosił komunikat, "miał szczęście" /też określenie koleżeńskie/ ściągnąć 2 niemieckie samoloty i, według słów drugiego komunikatu Kierownictwa Marynarki Wojennej, "ocalił konwój."

Służba na okrętach polskich, jak i na innych okrętach Sprzymierzonych, jest ciężka, niebezpieczna i wyczerpująca. Chwile uniesień i triumfów bojowych zdarzają się niezmiernie rzadko i ci, co takie chwile przeżyli, uważani są za "szczęściarzy." Większość, przytłaczająca większość czasu spędzanego przez marynarzy na okrętach, to ciężka praca, krwawy trud, naprężenie nerwów, niewygody i walka ze zmęczeniem, morzem i pogodą, nie licząc okrętów podwodnych, niebezpieczeństwa min, samolotów i "innych urozmaiceń." Niech jednak nikomu się nie wydaje że na kontrtorpedowcach, na ścigaczach i okrętach podwodnych ludzie "jedzą pomarańcze i spijają wino" . . . Na barkach tych utrudzonych i dzielnych chłopców spoczywa Polska, a wysiłek nieustanny nerwów, ciała i ducha są jedynymi towarzyszami ich wysiłków. To należy i powinno się powtarzać przy każdej sposobności i w słowach tych nie ma przesady, choć są tak "górne." To prawda.

Londyn, 27 kwietnia 1942 r.

BOHDAN PAWŁOWICZ

300 godzin gen. Sikorskiego w Ameryce

17 GODZIN I 2775 MIL

Nad bazą operacyjną "gdzieś w Szkocji" zapada zmrok. Sylwetki rozrzuconych po lotnisku maszyn, zarysy ziemnych wałów ochronnych, szerokie i przysadziste kontury hangarów i zabudowań stacyjnych stają się coraz mniej ostre i wyraźne. Wygląda to jak pierwsza klisza fotografa-amatora. Wszystkiego trzeba się domyślać.

Godz: 21.30. Na dworze jest chłodno. Pod jeden z budynków podjeżdża powoli na zupełnie zgaszonych światłach samochód gen. Sikorskiego. Zatrzymuje się—dowódca bazy składa krótki meldunek, poczem wszyscy obecni udają się na szklankę herbaty i odpoczywają przed lotem w głębokich fotelach, tak jak codziennie robią to członkowie załóg bombowych przed lotem bojowym.

W międzyczasie przybywa reszta pasażerów: pułkownik lotnictwa południowo - afrykańskiego, lotnik angielski oraz wydawca jednego z pism kanadyjskich. Razem będzie więc reprezentowana: Polska, Anglia, Płd. Afryka i Kanada.

O godz. 01.10 meldunek—Załoga bombowca, ekipa Naczelnego Wodza i pozostali pasażerowie nakładają kombinezony lotnicze i szelki spadochronowe—ciężkie i niezgrabne sylwetki zbierają się przy wyjściu. Po chwili nadchodzi gen. Sikorski, wita się z kpt. S., który jest pilotem i dowódcą tego bombowca poczem wbrew znanym przesądom Naczelny Wódz i pilot wyrażają zgodę na dokonanie fotografii.

Na dworze jest zupełnie ciemno. We wszystkich budynkach kompletny blackout. Olbrzymi 4-ro motorowy "Liberator" wydaje się w mrokach nocy jeszcze większy, ale mimo tej pozornej "tuszy" wewnątrz miejsca jest niedużo.

Tak niedawno Generał i dwie osoby z jego otoczenia zajmowali miejsca w "Championie"—przed podróżą do Rosji. Tylko tam siedziało się w wygodnych fotelach, a tu wąziutkie ławeczki. Miejsca tak mało, że dosłownie nie ma się gdzie obrócić, a o wyciągnięciu nóg nawet marzyć nie można.

Przeszło pół godziny rozgrzewano tego olbrzyma—prawie 5000 koni. Potem kontrola zegarów i przygotowania do startu.

Start. Kpt. S. ma twarz skupioną. Obciążona dużą ilością paliwa maszyna ma długi rozbieg, potem powoli, niemal niepostrzeżenie odrywa się od ziemi. Idealny start, wciągnięcie podwozia, klapy i od razu na wysoki pułap.

Strzałka manometru wskazuje 3000 stóp, po jakimś czasie już 7000, potem—10.000. Teraz wszyscy nakładają maski tlenowe, a maszyna idzie stale coraz wyżej. 15,000, 20,000, 25.000, wreszcie 33.000 stóp (11.000 metrów)—stratosfera.

Z maskami jest sporo kłopotu. Na tej wysokości jest już wyraźny mróz. Maski łatwo zamarzają i trzeba je od czasu do czasu "watkować," by roztopić zamarzniętą, skroploną parę, a potem trzeba też co jakiś czas "przepłukiwać." Nie można ani rozmawiać, ani spać, ani jeść. O zapaleniu papierosa nie ma mowy. Dookoła opary tlenu i benzyny. Z powodu braku miejsca nie można się poruszyć. Naczelny Wódz usiłuje zaimprowizować sobie coś w rodzaju "leżenia" na podłodze, ale i tak nogi muszą być podkurczone.

Każdy ma na nogach trzy pary ciepłych skarpetek i ciepłe lotnicze buty, ale na tej wysokości mróz jest solidny—po paru godzinach większość stuka obcasem o obcas.

Lot właściwie jest monotonny. Pogoda dobra, bez burzy i bez "przylotnych gości." Pod spodem bez przerwy zwały chmur. W świetle dnia wygląda to jak biała powierzchnia kwaśnego mleka. Do poziomu oceanu—33.000 stóp—do jego dna około 55.000 stóp.

Po dziesięciu godzinach pilot obniża pułap i po pewnym czasie można zdjąć maski. Jedna z osób usiłuje rozgrzać się łykiem gorącej kawy z termosu, niestety termosy są obliczone na bardziej przyziemne podróże i . . . kawa jest zupełnie zimna. Zresztą nie wszyscy odczuwają uczucie pragnienia lub głodu. Są tacy, którzy czują coś wręcz odwrotnego. Najbardziej jednak cierpią palacze—już od 12 godzin bez papierosa. Płk. M. gryzie co jakiś czas kawałek czekolady, ale czy to zastąpi Players' a?

Powoli ogarnia wszystkich znużenie, tak dobrze znane członkom załóg bombowych. Samolot leci już na niedużej wysokości i po trzynastu godzinach lotu znajduje się nad brzegami Nowej Funlandii.

Baza lotnicza nadaje komunikat meteorologiczny. Kpt. S. studiuje go jakiś czas, a potem pobiera decyzję: lecimy wprost do Montrealu, bez zatrzymania. Jeszcze cztery godziny i "Liberator" zatacza koło przed lotniskiem potem podchodzi do lądowania—roluje—i tuż przed hangarami stop!

17 godzin i 2775 mil ukończone. Załoga i pasażerowie wychodzą z maszyny. Mięśnie nóg zdrętwiały niemal zupełnie. Trudno się podnieść, a co dopiero wyjść na światło dzienne i iść prosto po lotnisku. Charakterystyczne chwiejne kroki i ręce szukające mimo woli oparcia o coś. Rzut oka na zegarek—19.15—i tak jasno?—niemożliwe! Na wielkim zegarze widocznym na budynku portu lotniczego godz. 14.15. (Dokładnie rok temu, 21 marca 1941 roku niemal o tej samej godzinie gen. Sikorski przybył po raz pierwszy do Kanady na pokładzie brytyjskiego pancernika.) Wszyscy cofają zegarki. W Ameryce jest czas o pięć godzin wcześniejszy.

PRZYJACIELE POD GWIAŹDZISTYM SZTANDAREM

W czasie sobotniego i niedzielnego pobytu w Montrealu gen. Sikorski przyjął Air Chief-Marshall'a Sir Bowhill'a, Szefa imperialnego Ferry-Command, oraz przedstawicieli prasy kanadyjskiej i amerykańskiej, którym między innymi powiedział:

"*Jestem pełen uznania dla olbrzymiego wysiłku wojennego Kanady i wspaniałej postawy jej walczących żołnierzy, ale musimy wszyscy dążyć do jeszcze większych wyników zwłaszcza w dziedzinie produkcji, ponieważ będziemy musieli rozpocząć ofensywę na kontynencie. Ofensywa ta musi być dobrze przygotowana . . .*"

Z Montrealu, żegnany przez licznie zebraną kolonię polską, Naczelny Wódz odjechał bezpośrednio do Waszyngtonu, gdzie na dworcu był powitany w imieniu Prezydenta Roosevelta przez podsekretarza Stanu Adolfa Berle i Szefa protokułu Georga Summerlina. W imieniu Korpusu dyplomatycznego witał Premiera Polskiego Rządu Lord Halifax. Poza tym na dworcu byli obecni prawie wszyscy przedstawiciele państw sojuszniczych, attaché wojskowi i personel Ambasady Polskiej.

Tygodniowy pobyt gen. Sikorskiego w Waszyngtonie wywołał poważne echa w prasie amerykańskiej. Dwie konferencje z Prezydentem Rooseveltem, dwie z Sumner Wellesem (jedna dwugodzinna), konferencja z Lordem Halifaxem, z amb. Litwinowem, z min. Morgenthau, z Sir'em John Dillem, przemówienie na Komisji sp.aw zagranicznych członków Kongresu i cały szereg wizyt i przyjęć, musiały zwrócić uwagę wielu obserwatorów na fakt, że Polska żyje i walczy, jest pełnowartościowym aliantem.

Konferencje przeprowadzone przez gen. Sikorskiego dały całkowicie pomyślne wyniki—zwłaszcza owocne były rozmowy z Prezydentem Rooseveltem, odbywające się w atmosferze szczerej sympatii i pełnego zrozumienia dla dążeń Polskiego Narodu.

Właśnie te rozmowy będzie miał Naczelny Wódz na myśli, gdy dwa tygodnie później przemawiając do swoich żołnierzy w Szkocji powie:

"*Wracam po krótkim, lecz owocnym w pozytywne skutki dla Polski pobycie w Stanach Zjednoczonych. Bądźcie pewni, że wasza służba rycerska, doczeka się tej jedynej nagrody, której pragniecie: zmartwychwstania Wolnej i Wielkiej Polski*".

Z obserwacji samych tylko tytułów czołowych pism Ameryki i Kanady można wnioskować, że dwa zagadnienia były omawiane specjalnie; aktualna sytuacja wojenna i sprawa powojennych granic państw, które straciły swą niepodległość.

Jeśli idzie o pierwszy zespół zagadnień gen. Sikorski, jasno i zdecydowanie podkreślił duży wysiłek Rosji, stwierdzając jednocześnie, że chociaż Niemcy zostali zatrzymani i ponieśli duże straty, to jednak Rosja została również osłabiona i należy jej szybko i uczciwie pomóc. Przedstawicielowi Montreal "*Daily Herald*" który w obecności wielu dziennikarzy zapytuje go o Rosję, gen. Sikorski oświadcza:

"*Rosjanie biją się dobrze, ponieważ bronią własnej ziemi, ale teraz pomoc jest im niezbędna i należy im tej pomocy udzielić. Musimy Rosji zapewnić więcej sprzętu i drugi front. . . .*"

W szeregu innych przemówień Premier Rządu Polskiego podkreślał kilkakrotnie potrzebę otwarcia drugiego frontu. Tytuły w dziennikach to: "Sikorski podkreśla potrzebę drugiego frontu"—"Sikorski oświadcza się za pomocą dla Rosji"—"Więcej pomocy dla Rosji i drugi front, mówi Polski Premier," a *New York Times* zaznacza:

"*Żaden z alianckich mężów stanu nie domagał się tak zdecydowanie pomocy dla Rosji jak gen. Sikorski—jego apel był równie gorący jak apel Litwinowa.*"

Szereg dziennikarzy wyraża słowa pełnego uznania dla Rządu Polskiego, który mimo ogólnie znanych i na terenie Ameryki swobodnie omawianych trudności pomiędzy Polską a Rosją i pomimo wspomnień 1939 roku, zdecydował się na tak proste, jasne i uczciwe stanowisko.

Co do granic powojennych, to gen. Sikorski występował tu nie tylko jako Premier Rządu Polskiego, ale jak można wnioskować z głosów prasy amerykańskiej, opinia publiczna widziała w nim przedstawiciela większości uciemiężonych narodów.

Rozmowy na temat polskich granic siłą rzeczy rozciągały się na identyczne zagadnienia państw z Polską sąsiadujących. Również i w tej sprawie stanowisko gen. Sikorskiego zostało wyrażone przez niego osobiście zupełnie jasno. Na przyjęciu w Princenton Klubie Premier Polski powiedział:

"*Nie czas na utrwalanie przyszłego stałego ustroju świata pokojowego. Może to nastąpić dopiero wtedy, gdy szczęk oręża zamilknie po odniesionym przez zjednoczone narody zwycięstwie. Siłą tych narodów, kierowanych przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię, jest przedewszystkim zachowanie wierności tym ideałom i zasadom, jakie są wyrażone w Karcie Atlantyckiej.*"

Jak można z tego wnioskować Rząd Polski uważa, że jakiekolwiek decyzje ustalania granic w warunkach obecnego układu stosunków międzynarodowych byłyby przede wszystkim przedwczesne, a poza tym mogłyby kryć możliwości zasadniczych trudności na przyszłość. Dlatego też uznano za właściwe odłożenie tych spraw do chwili, gdy po zwycięstwie będzie można rozpatrzyć je spokojniej i gruntowniej, rozporządzając wszystkimi niezbędnymi w takich wypadkach elementami do decyzji.

Z całym uznaniem należy tu podkreślić wybitnie pozytywne i przychylne dla Polski stanowisko w tej sprawie szerokiej opinii publicznej w Ameryce. Prasa amerykańska orientująca się zupełnie dobrze w całokształcie stosunków polsko-rosyjskich, omawiając te zagadnienia zajmuje wyraźne stanowisko. "*New York Herald Tribune*" w artykule czołowym na pierwszej stronie pisze:

"*Polacy obawiają się dzisiaj, jak zostanie załatwiona sprawa ich granic po wojnie. Otóż nie może być kwestii na ten temat. Karta Atlantycka podpisana w sierpniu przez Roosevelta i Churchilla odrzuca wszelkie zmiany terytorialne, dokonane bez dobrowolnej zgody zainteresowanych narodów*" . . . —a dalej: . . . "*Sir Stafford Cripps powiedział, że ustalenie granicy polsko-rosyjskiej powinny zadecydować między sobą Polska i Rosja. To nie jest to czego chcą Polacy. Dla nich ich granice są ustalone i powinny być uznane za nienaruszalne.*"

"*Washington D.C. Star*" daje duży i wymowny nagłówek: "Wizyta Sikorskiego sprawdzianem współpracy amerykańsko - brytyjsko - sowieckiej." W artykule umieszczonym poniżej dziennik ten omawia obszernie wypadki odbierania paszportów polskich tym Polakom, którzy chcieli z Rosji wyjechać i kończy podkreśleniem ważności rozmów gen. Sikorskiego w Waszyngtonie, zwłaszcza wobec oficjalnego głosu w Londynie, który domagał się dla Rosji "granic strategicznych."

"*The Bridgeport Post*" w dłuższym artykule ocenia bardzo pozytywnie wojenny wysiłek Polski i kończy wywody tymi słowami:

"*Dla Polaków jest tylko jedna nadzieja na przyszłość—znowu niezależny Naród. Polacy są wdzięczni Rosji za uwolnienie dwu milionów polskich obywateli, którzy zostali przez Rosję wywiezieni w czasie okupacji ziem wschodnich. Ale granice są bardziej ważne dla Polaków, aniżeli wszystkie inne sprawy i to właśnie zagadnienie przyprowadziło tutaj Sikorskiego do przedyskutowania z amerykańskimi mężami stanu politycznych i gospodarczych zagadnień z tej dziedziny.*"

J. G. Harrison w bostońskim dzienniku "*The Christian Science Monitor*" pisze:

"*W uzupełnieniu rozmów przeprowadzonych przez gen. Sikorskiego trzeba dodać, że znajduje się tu również amerykański ambasador w Wielkiej Brytanii J. G. Winant, który przeprowadził szereg rozmów z Prezydentem Rooseveltem na temat narodowych dążeń w Europie. Wydaje się, że raport amb. Winanta złożony w Białym Domu będzie rozpatrywany w zestawieniu ze stanowiskiem brytyjskim, powolnym jak można sądzić, pewnym żądaniom Rosji—kontroli nad trzema państwami bałtyckimi, wschodniej części południowo-wschodniego obszaru Finlandii i prawdopodobnie udziału w kontroli cieśniny dardanelskiej. Brytyjskie stanowisko odnośnie tych żądań Rosji ukazało się w niedawnym artykule wstępnym Times'a w Londynie, który użył zwrotu, że Związek Sowiecki "prawnie uprzednio zajął" /rightly preoccupied/ na zasadzie przyszłego bezpieczeństwa państwowego i że takie zamiary "nigdzie nie poszły poza terytoria wcielone do Związku Sowieckiego w czasie, gdy Hitler ubiegłego czerwca uderzył na ten Związek" . . . a dalej: . . . "Po swoim powrocie z Moskwy w grudniu Minister Spraw Zagranicznych Anthony Eden przedstawił te rosyjskie żądania gabinetowi brytyjskiemu, obiecując nadesłać odpowiedź do Kremla. Ten sam artykuł Times'a w Londynie dodaje, że z Londynu tych odpowiedzi jeszcze nie wysłano. Jakkolwiek Biały Dom nie ogłosił urzędowego oświadczenia w tej sprawie, to jednak szereg poważnych osobistości z kół oficjalnych oświadczyło, że wszystkie warunki Karty Atlantyckiej muszą być zachowane, w przeciwnym bowiem razie dokument ten straci swoją wartość jako podstawa do powojennej odbudowy.*"

"*Washington Daily News*" pisze:

"*Żołnierze polscy, którzy byli wzięci w 1939 roku do niewoli przez Rosjan, teraz walczą po stronie ich zaborców przeciw Niemcom. Walczą oni pod niebem Anglii i nad kontynentem Europy. Walczą oni w Libii i na morzach ramię przy ramieniu z marynarką brytyjską. Oni dają dla sprawy alianckiej wszystko co im pozostało, włącznie do własnej krwi. Zrozumiałym jest przeto, że chcieliby oni widzieć bardziej wyraźne zasady, za które walczą. Sądzą oni, że nie tylko Rosja, ale i Stany Zjednoczone i Wielka Brytania ofiaruje im to.*"

"*New York Times*" którego opinia ma poważny ciężar gatunkowy kończy artykuł w tej sprawie tymi słowami:

"*Generał Sikorski uprawniony jest jako Premier Rządu Polskiego i Naczelny Wódz domagać się, aby w sprawie ziem, o które Polska walczy, nie zapadły żadne ostateczne postanowienia, dopóki konflikt nie zostanie rozstrzygnięty. Generał Sikorski przybył do Stanów Zjednoczonych, aby uzyskać poparcie rządu amerykańskiego w tej sprawie. Odjechał on całkowicie zapewniony, że Prezydent nie zobowiąże się z góry do żadnych terytorialnych załatwień.*"

Zestawiwszy to wszystko z tym czego rzeczywiście rozsądna opinia polska ma prawo oczekiwać, mamy całkowite podstawy do przypuszczeń, że poglądy i dążenia Ameryki i nasze są te same, niemal identyczne. Naród skupiony pod gwiaździstym sztandarem jest naszym przyjacielem. Nie dla interesu i nie dla korzyści, a po prostu dlatego, że to co ukochał, to na czym wyrósł i to co stanowi jego kręgosłup moralny—to są te same ideały, które i dla nas są wszystkim: ideały wolności i sprawiedliwości.

Pięknym momentem, który podkreślił tę właśnie stronę wizyty gen. Sikorskiego, było złożenie wieńców na grobie Nieznanego Żołnierza i Ignacego Paderewskiego na cmentarzu Narodowym w Arlington. W chwili składania wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza pluton podchorążych oddał honory wojskowe.

Dwadzieścia lat temu dekretem ówczesnego Naczelnego Wodza został nadany Nieznanemu Żołnierzowi Stanów Zjednoczonych A. P. Srebrny Krzyż Orderu wojennego Virtuti Militari Nr. 262. Dzisiaj honory temu Żołnierzowi oddał pierwszy spośród żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, dając tym dowód uznania, jakie żywi Naród Polski dla czynu zbrojnego w obronie wspólnych nam ideałów.

Od niedawna na cmentarzu w Arlington znajduje się również drugi grób drogi każdemu polskiemu sercu. Naczelny Wódz złożył na nim wieniec z biało-czerwonych róż, zasalutował, a potem przez długą chwilę stał w skupieniu nad grobem wielkiego Polaka, sławnego artysty i swego osobistego przyjaciela, który wytrwał na posterunku do końca, jak żołnierz—i dlatego na pogrzebie niesiono za jego trumną mały, srebrny krzyż na błękitnoczarnej wstążce.

Po tygodniowym pobycie w Waszyngtonie, gdzie oprócz oficjalnych konferencji odbył się też szereg przyjęć na cześć gen. Sikorskiego, między innymi bardzo serdeczne przyjęcie w Ambasadzie Chińskiej — gen. Sikorski udał się do Nowego Yorku. Tutaj na obiedzie wydanym przez wpływowe osobistości społeczeństwa miejscowego, Premier Polskiego Rządu miał możność wymiany poglądów z Wendell Willkiem i z Herbertem Agarem, który specjalnie w tym celu przybył samolotem z Kalifornii.

Po krótkim pobycie w Nowym Yorku, gen. Sikorski odjechał do Kanady, gdzie był gościem Gubernatora Generalnego hr. Athlone i ks. Alicji. W czasie półtoragodzinnej konferencji z MacKenzie Kingiem obaj mężowie stanu omówili wszystkie aktualne zagadnienia.

Generał Sikorski złożył na ręce Premiera Kanady wyrazy wdzięczności Narodu Polskiego za gościnność i życzliwość jakiej doznała na tym terenie sprawa formowania wojska polskiego w Kanadzie.

POWRÓT

Po dwudniowym pobycie w Ottawie nastąpił wyjazd do Montrealu skąd miano odlecieć do Szkocji. Niestety warunki atmosferyczne zmusiły Naczelnego Wodza do pozostania przez kilka dni na Nowej Funlandii. Korzystając z tego zatrzymania generał Sikorski spędził Święta Wielkanocne w gronie lotników polskich, którzy przebywali w tamtejszej bazie lotniczej.

Droga powrotna odbyła się bez większych przeszkód. Bombowiec tego samego typu, ta sama załoga, tylko zmieniła się część pasażerów. Znowu trzeba było nakładać maski i znowu trzeba je było "watkować." Mniej więcej w połowie podróży maska gen. Sikorskiego uległa zepsuciu, musiano dokonać wymiany, ale mimo tego oddychanie było znacznie utrudnione i Naczelny Wódz przybył bardziej zmęczony, aniżeli to miało miejsce w podróży do Ameryki.

Sam lot znowu był monotonny, niemal nudny. Dwóch Anglików z obojętnymi twarzami niemal bez przerwy grało w szachy, podając sobie z rąk do rąk tabliczkę z powpinanymi figurami. Po 10 godzinach wylądowano na tym samym lotnisku w Szkocji.

W sumie podróż amerykańska trwała wraz z przelotami przeszło 367 godzin, w czasie których przebyto prawie 7.000 mil. Od początku tej wojny Premier Rządu Polskiego i Naczelny Wódz przebył drogą powietrzną przeszło 24.400 mil /około 44.000 kilometrów/, czyli w sumie odległość większą aniżeli długość równika ziemskiego.

Po ostatniej podróży wylądowawszy na lotnisku gen. Sikorski zwrócił się do ppłk. P.: ". . . Pięknie jest być orłem Pułkowniku, lecz przyjemnie również stanąć z powrotem na ziemi, chociaż orka na niej jest trudna i ciężka . . ."

KAMIL BOGUMIŁ CZARNECKI

Wspomnienia z Kampanii Norweskiej

IV.*

Jeden kierunek został zbadany. Kierunek ten prowadzący ze wzgórza bezpośrednio na nas, został ponadto całkowicie zabezpieczony. Należało jeszcze zbadać wzgórze od strony południa i zachodu a także nawiązać łączność z oddziałami II batalionu.

Było to bardzo trudne i niebezpieczne zadanie, należało bowiem obejść niemiecki klin wbity w nasze ugrupowanie i po tamtej stronie klinu szukać swoich. Znów po zorientowaniu się w położeniu spytałem kto pójdzie na ochotnika. Tym razem znów wystąpił oficer, porucznik o nazwisku także zaczynającym sie na literę M.

Chętnie zgodziłem się na to, wiedziałem bowiem, że porucznik nadeśle wyjątkowo dokładny i rzetelny meldunek. Po pewnym czasie znów rozpętała się strzelanina. Także tym razem dostałem istotne wiadomości, lecz i ten patrol poniósł dotkliwe straty. Wreszcie musiałem wysłać trzecie, tym razem silne rozpoznanie.

Musiałem to uczynić na skutek wiadomości od pierwszego patrolu, że Niemcy otrzymali jakieś posiłki i zachowanie ich staje się co raz bardziej zaczepne. Jako dowódca plutonu rozpoznawczego z cekaemami i moździerzami poszedł na ochotnika mój zastępca major P.

I tym razem były straty. Miałem jednak zupełnie wystarczające wiadomości o nieprzyjacielu i jego ugrupowaniu. Dowiedziałem się także gdzie mniej więcej jest lewe skrzydło II Batalionu. Pozwoliło mi to powziąć decyzję natychmiastowego natarcia na wzgórze 295, jedną kompanią z plutonem ckm i plutonem moździerzy.



Natarcie to, jak wiadomo, udało się i wzgórze, o które toczyły sie zmagania w ciągu kilkunastu dni pozostało ostatecznie w rękach żołnierzy IV batalionu. Nie w tym jednak rzecz; jest to dzieło jedynie przypadku. Chciałbym w tym miejscu poruszyć zupełnie co innego. Otóż stwierdzam z całą stanowczością, że powodzenie natarcia należy przypisać w równej mierze tak oficerom jak podoficerom i podchorążym, oraz rzecz najważniejsza: strzelcom czy to przybyłym z Polski po Wrześniu, czy to emigrantom z Francji. Wszyscy wykazali jednakową odwagę i jednakowe poświęcenie.

Nie mniej przykład ofiarnej pracy tym razem dał podoficer. Był nim kapral Pec, który w czasie samego natarcia na wzgórze 295 zginął śmiercią bohatera. Śmierć jego i okoliczności w jakich zginął ten bohaterski podoficer, nakazują każdemu żołnierzowi schylić głowę przed jego mogiłą i oddać honory wojskowe.

Gdy nasi zaczęli wdzierać się na wzgórze, Niemcy chcąc za wszelką cenę utrzymać ten ważny dla nich punkt terenowy, otworzyli morderczy ogień z cekaemów i pistoletów automatycznych, wspierając ponadto oddział broniący wzgórza ogniem moździerzy. Nieprzyjaciel literalnie siekł i kosił pociskami po krzakach i brzózkach.

Wtedy to kapral Pec nie zważając na prawie niechybną śmierć poderwał się, wykonał skok nieco na przód i zaczął pakować krótkie serie tam, skąd niemiecki ogień był najsilniejszy.

Mimo to oddziały nacierające zaczęły się chwiać i zalegać. Pociski przeciwnika gwizdały na wysokości niespełna jednego metra ponad głowami. Stawało się niebezpieczne wystawiać głowy zza kamieni lub kawałków darniny.

Kapral Pec ponownie wykonał skok i po wejściu na "ziemię niczyją" przykucnął za głazem i zaczął rąbać po Niemcach długimi seriami ze swego erkaemu. Robił to sprawnie, spokojnie i starannie, posyłając serie pocisków tam, gdzie odzywała się niemiecka broń maszynowa. Niemcy tym razem przycichli nieomal natychmiast. Widoczne stało się, że większa ich część pochowała głowy. Nasi znów poderwali się. . . .

Kapral jednak ciągle był na czele. W pewnej chwili został jakgdyby skoszony, przewrócił się, puścił erkaem, potoczył się nieco w dół, robiąc bezwładnym ciałem kilka obrotów, zderzył się z kamieniem, który go zatrzymał. Pod tym kamieniem zamarł w bezruchu.

Rana jak się okazało później była straszna i śmiertelna. Odłamek pocisku moździerzowego, którym kapral Pec został ugodzony, trafił w kiszkę stolcową, przeszył żołądek wzdłuż osi ciała i utkwił gdzieś w okolicy przepony brzusznej. Major P, który był obok kaprala, zrobił mu opatrunek. Było jednak jasne, że bohaterski podoficer nie będzie już mieszkańcem tego padołu.

Czyn kaprala wykazał niezbicie, że prócz zapału i dobrej woli trzeba mieć także i pewien zasób wiedzy fachowej i doświadczenia. Śmierć zabrała go, bo jest ślepa i głucha a na wojnie kosi ludzi nie wybierając ni lepszych ani gorszych, ale równie dobrze mogła go była nie dosięgnąć. Jednak doświadczenie jednego człowieka na równi z odwagą zaważyło na losach walki. Mało tego. Doświadczenie zrodziło odwagę, odwaga zaś porwała innych.

Gdy po zdobyciu wzgórza 295, sanitariusze odnosili kaprala Peca do Emmenes, nosze były pokryte krwią. Z ust wykrzywionych w straszliwy grymas męki sączyła się także cienka ciemno czerwona smuga.

—"Która teraz może być godzina?"—spytałem porucznika. Porucznik spojrzał na zegarek i powiedział:

—"Pierwsza."

—"No dobrze, ale czy to pierwsza w dzień czy w nocy?"

Porucznik zaczął uprzytamniać sobie fakty i godziny w jakich one miały miejsce, aby na tej podstawie ustalić czy jest noc czy też dzień.

—"Dyć jest pierwsza w dzień" —odezwał się jeden ze strzelców z dowództwa batalionu.

—"Co ty tam gadasz?"—odezwał się drugi, dziecko prawie—"Teraz jest noc."

—"Po czym ty poznajesz, że jest noc?"—spytał pierwszy.

—"Jest noc, bo zrana jechaliśmy taksówkami."

—"Nie wiesz matole, że w wojsku nima taksówek, a są samochody?"

—"Byłem matołem jakeś cycek mamusi w gębie trzymał"—powiedział obrażony dzieciak do kolegi co najmniej 10 lat starszego od siebie.

—"Przestańcie się kłócić szczeniaki"—odezwał się trzeci, szpakowaty już żołnierz.

—"Panie Majorze w ta pora widzi mi sie już noc."

—"A czegoż ten stary piernik szarpie sie"—spytał pocichu pierwszy strzelec drugiego.

—"Bo matoł"—po cichu powiedział dzieciak i obaj po przyjściu prawdopodobnie do przekonania, że nie warto zastanawiać się, czy jest pierwsza w dzień czy w nocy, zawinęli się w płaszcze, po przyjacielsku przytulili się do siebie i po chwili już spali.

—"Mylicie się" — powiedział porucznik do szpakowatego żołnierza—"Jest pierwsza w dzień."

—"A po czemuż ta pan porucznik poznaje?"—spytał żołnierz.

—"Nie może być przecież, żeby akcja trwała całą dobę, wyjechaliśmy przecież nad ranem."

—"Taż na ta przeklęta góra leźli my pół dnia."

—"No i cóż z tego?"

—"A potem pół dnia poruczniki na rozwiadki chodzili."

—"A może macie i rację, może jest pierwsza w nocy."

—"Stary ułan zawsze ma racja" — odpowiedział żołnierz i zaraz przeniósł się wspomnieniami do swej rodzinnej Wileńszczyzny.

—"Pamiętam na Kaziuka raz przyjechał ja do Wilna, ta i poszėdł z kolego na jednego. Fajna taka była restawracja na Kalwaryjskiej. Żona młynarza z Mejszegoły trzymała ta restawracja.. Siedzim i pijem, a tu wchodzi znajomy organista z kościoła w Miednikach.—"Czy można u Pani przetrącić jednego"—zapytał organista, a kobieta jak się nie rzuci na niego—"A cóż ta sobie pan myślisz, że tu można przetrącać? Nie masz pan chanoru, idz pan sobie na Łukiszki, tam pan sobie znajdziesz panny do przetrącania, a nie—to miotło jak ogrzeje to długo będziesz pamiętał "kawał swałaczy." Organista tylko gembe rozdziawił i stoi i milczy, tak się zadziwił, a ja w ta pora mówie do kobiety:—"Paniusiu taż ten pan chce wypić, jak ja odbywał czynna służba w ułańskim pułku, to pan wachmistrz zawdy mówił przed obiadem:—Trzeba jednego przetroncić, a nie może być, aby pan wachmistrz przed każdym obiadem miał amory z żono." Kobieta słuchała a potem w ta pora mówi:—"Może masz pan racja, może ten pan chciał wypić." Tak i nie przepędziła organisty."

—"A jednak jest pierwsza w nocy"—powiedział porucznik i na podstawie przebiegu wypadków udowodnił to, przyznając żołnierzowi rację.

—"Nu w ta pora pan porucznik omyliwszy sia"—powiedział flegmatyczny żołnierz i po chwili zmęczony przeżyciami, ukołysany wspomnieniami rodzinnej ziemi spał twardo.

Nie mogłem zasnąć. Oczy bolały od tego nieustającego światła. Powieki zaczęły puchnąć już dawno. W głowie tkwił szum lecących bomb. Wspomnienie kaprala nie schodziło z pamięci.

Gdy o godzinie drugiej znienawidzone słońce wyłoniło się ociężale zza gór i zaczęło znów męczyć zbolały i zmęczony wzrok, postanowiłem pójść na dół do Emmenes odwiedzić kaprala.

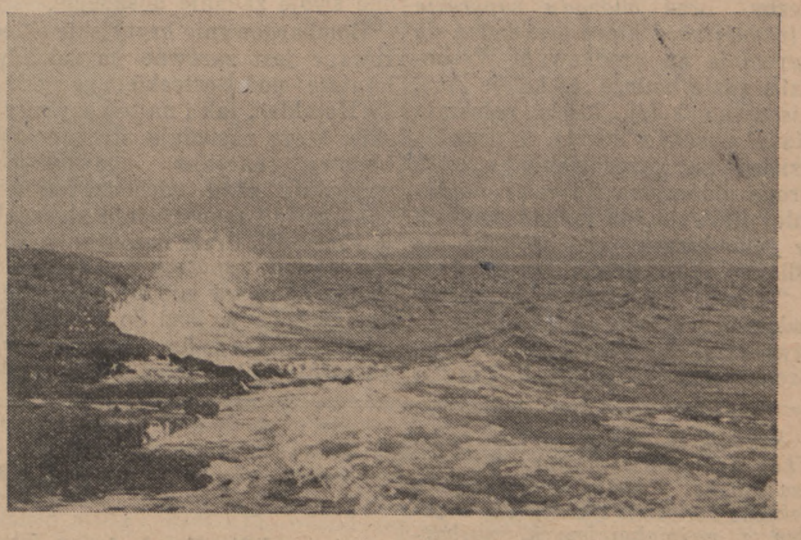
Wzgórze było już silnie obsadzone przez broń maszynową. Niemcy wycofali się do Ankenes, a następnie częściowo jeszcze w nocy na Narvik. Żołnierze zawinięci w płaszcze, z kawałkami darniny pod głowami, tej darniny, która za dnia była nieraz jedynym przykryciem, spali, trzymając silnie w objęciach kochanki-karabiny, oraz głośno i obficie puszczali w portki złego ducha.

Śniadanie, obiad i kolacja za dzień 29 maja oraz śniadanie na 30 maja miały przybyć za parę godzin.

Poszedłem do Emmenes . . .

* * *

Angielska czołówka sanitarna była umieszczona w kilku domkach. Domki te jednak były już prawie puste. Anglicy ze zdumiewającą sprawnością wyewakuowali już naszych rannych. Pozostawili tylko takich, których nie warto było wywozić . . . Szef czołówki, angielski lekarz o dobrym i miłym wyrazie twarzy, patrząc przenikliwie przez duże okulary, zaprowadził mnie do pokoju, gdzie leżał kapral.



Zdążyłem przyjść na czas. Kapral konał, leżąc na piersiach, z głową skręconą na bok. Płuca wydawały okropne chrapliwe rzężenie, w którym jednak dosłyszałem kilkakrotnie wyrazy: "Księdza, księdza." a potem: "Idę przed oblicze Pana." W pewnej chwili kapral szeroko otworzył oczy i patrząc na mnie, lecz nie poznając powtórzył znów: "Księdza."

Było to już ostatnie słowo tego polskiego żołnierza . . . Potem nastąpiła agonia. Charczenie stawało się co raz słabsze. Wkrótce biała piana ukazała się na ustach konającego. Jeszcze chwila i kapral Pec stanął "przed obliczem Pana."

Wtedy od strony okna usłyszałem spazmatyczny szloch kobiecy. Obejrzałem się . . . Przy otwartym oknie siedziała dziewczyna i płakała trzymając twarz w dłoniach. Słaby powiew norweskiego poranka poruszał jej złoto-płowe włosy. Ścisnęło mi w gardle . . . Obca dziewczyna żegnała polskiego żołnierza na obcej ziemi . . .

Po chwili nieznajoma wstała, poważna, surowa, ze zmarszczonymi brwiami i ocierając łzy dała mi znak, że trzeba zmarłego obrócić twarzą do góry. Gdyśmy to razem czynili, na twarz kaprala z oczu dziewczyny spadło kilka dużych łez. Potem uklękła przed łożem zmarłego, dała mi znak, abym uczynił to samo i zaczęła półgłosem odmawiać: "Ojcze Nasz."

Kapral zaś leżał z twarzą spokojną, na której już nie było śladów cierpień i nieomal dumną. Na czole i policzkach lśniły jeszcze krople śmiertelnego potu i łzy norweskiej dziewczyny.

Tak. Kapral Pec mógł być dumny. To on zdobył z powrotem wzgórze oznaczone na mapach norweskich cyfrą 295.

* * *

Gdy wychodziłem z Emmenes, dopędził mnie tabor batalionu, który wiózł samochodami upragnioną żywność. Kucharze zabrali mnie na samochód. Niedługo jednak jechaliśmy. Na tym samym miejscu, gdzie wczoraj rozwinęliśmy się do natarcia, trzeba było wyładować żywność i znów rozpocząć wspinaczkę, tym razem nie pod ogniem przeciwnika, lecz zato z dużym ciężarem w postaci kotłów, puszek i masy bochenków chleba. Oddziały przysłały z góry strzelców do pomocy, jednak dwa śniadania, obiad i kolacja na trzy setki ludzi były pokaźnym ciężarem. Żołnierze klęli soczyście i wspominali matki Niemców.

A jednak mimo wszystko aprowizacja u nas stała o wiele lepiej, niż u nieprzyjaciela; dowodem tego może być pamiętnik, który znaleziono przy zabitym Niemcu. Niemiec pisał: "sześć dni jestem na placówce, sześć dni jestem naprzeciw tych oszalałych ze wściekłości angielskich najemników, od których wieje tylko nienawiść . . . Od sześciu dni otrzymujemy tylko chleb . . . Woda jest na miejscu . . ." U nas w najgorszej sytuacji tego nie było.

Wdrapaliśmy się wreszcie. Dwa śniadania, obiad i kolacja znikły w ciągu kwadransa a potem jeszcze silniejsze chrapanie zaczęło napełniać świeże, niby poranne powietrze.

Położyłem się do płytkiej jamy wysłanej mchem, którą wykopali mi żołnierze, aby do chwili rozpoczęcia dalszych działań przespać się nieco. Postanowiłem bowiem prowadzić dalsze natarcie z chwilą nadejścia uzupełnienia amunicji. Sen dowódcy różni się jednak od snu strzelca. Gdy strzelec śpi, nikt mu zazwyczaj snu nie przerywa. Dowódcę budzą co chwila telefony, a gdy ich nie ma—gońcy, łącznicy lub starsi dowódcy.

Ten sam los musiał oczywiście i mnie spotkać. W pewnej chwili poczułem, że ktoś mnie szarpie. Nie chciałem i nie mogłem obudzić się, lecz wstrząsy stawały się co raz silniejsze i wreszcie doprowadziły mnie do przytomności. Ujrzałem przed sobą dwóch majorów. Byli to: zastępca szefa sztabu brygady major I. oraz szef II oddziału sztabu brygady major N.

ARNOLD JASKOWSKI

* Por. nr. 14-15, 16 i 17, "Polski Walczącej," z b.r.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £1,347

LOTNICTWO POLSKIE W ANGLII I W SZKOCJI RODAKOM W ROSJI, ROK 1942

Redakcja "Polski Walczącej,"

Przesyłając Money Order na kwotę £12.10.5½, proszę o przekazanie powyższej kwoty do P.C.K. jako pomoc dla Polaków w Rosji, zebraną wśród żołnierzy Polskiej Szkoły Pilotażu w Newton.

Komendant Polskiej Szkoły Pilotażu

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Od uczni po szczęśliwych skokach, od kadry instruktorskiej i pilotów przesyłamy kwotę 34 /trzydzieści cztery/ szylingów na pomoc dla Polaków w Rosji.

por. pil. Julian G., komendant Polskiego Kursu Spadochronowego

---

Redakcja "Polski Walczącej,"

Przesyłamy £10 na Polaków w Rosji od pracowników Polskiej YMCA w Szkocji za miesiąc kwiecień 1942 r.

Dyrekcja Polskiej YMCA w W. Brytanii

£5 przesyłam na pomoc Rodakom w Rosji, składając tą drogą podziękowanie p.kpt. wojsk łączn. T.L. za pomoc materialną udzieloną po wspólnej ucieczce z niewoli.

ppor. F.J.

* * *

Przesyłam £3.12.2 zebrane wśród uczniów Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Dunalastair House, na fundusz pomocy Polakom w Rosji.

* * *

Przesyłam £3 na "Pomoc dla Polaków w Rosji" zamiast podarunku imieninowego dla czteroletniego synka Mareczka, przebywającego w Kraju.

mjr. S.S.

* * *

Kwotę 3sh. 9d. przesyłam na pomoc dla Polaków w Rosji.

K. Mroziuk

* * *

Nadto przekazano na ten cel: p. L.B. £1.10 nieprzyjęte honorarium za artykuł w "Polsce Walczącej," p. Jan Olgierd Bożenko honorarium otrzymane od tygodnika "Co słychać" 2sh. 6d.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £37.12.10½ /słownie: trzydzieści siedem funtów, dwanaście szylingów, dziesięć i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,347.10.10½ /słownie tysiąc trzysta czterdzieści siedem funtów, dziesięć szylingów dziesięć i pół pensa/.

* * *

Żołnierze wojsk lądowych, lotnictwa i marynarki w Wielkiej Brytanii zrezygnowali z 295,000 szt. papierosów, przyznanych im na święta Wielkanocne przez Naczelnego Wodza na rzecz kolegów, znajdujących się w Sowietach.

Wódz Naczelny polecił uzupełnić tę ilość do wysokości 700,000 szt. i przesłać do Sowietów, jako dar Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii dla żołnierzy polskich w Sowietach.

Szkic sytuacyjny

WOJSKO POLSKIE NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

Generał Sikorski podał do wiadomości, w czasie swojego przemówienia na Radzie Narodowej w Londynie, że po raz pierwszy od czasu powstania oddziałów polskich na obczyźnie, *przekroczyły one cyfrę* 100,000. Jest to olbrzymi sukces, który dowodzi, że nasza siła zbrojna jest dzisiaj czynnikiem, *którego nikt lekceważyć nie może.* Posiadamy siłę zbrojną, która *przerasta nie tylko siły zbrojne wielu sojuszników, ale również siły zbrojne niektórych dominiów brytyjskich, pracujących przecież w innych, niż my warunkach.*

Taka siła zbrojna *już się liczy w wojnie.* Taka siła zbrojna już odegrać może rolę i *to nie tylko pomocniczą* w działaniach wojennych. Terenem, gdzie może ona odegrać rolę ważną i pierwszoplanową jest niewątpliwie Bliski i Środkowy Wschód. Na tych bowiem terenach działają niewielkie liczebnie armie a każdy tysiąc żołnierza jest już tam siłą poważną. Dlatego fakt, że wojsko polskie przesuwa się częściowo z Rosji przez Persję na rozmaite teatry wojny na Bliskim i Środkowym Wschodzie *napawać musi każdego radością.* Tam bowiem żołnierz polski będzie mógł pokazać w pełni, co umie.

"*Times*" w depeszy swojego sprawozdawcy z Kairu podkreśla, że pierwsza partia Polaków *przybyła już na fronty walki* i że otrzyma sprzęt i ekwipunek. Obok wojsk lądowych są *oddziały lotnicze* /"*Times*" nie podaje oczywiście liczby/ oraz *oddziały saperskie i inżynierskie,* które przydadzą się ogromnie na Środkowym Wschodzie, gdzie buduje się koleje /n.p. niedawno kolej, która połączyła Kanał Sueski z Turcją, co pozwala dzisiaj na przesuwanie sprzętu drogą lądową na tej całej olbrzymiej linii/. 1,500 kobiet polskich w mundurach zjawiło się na Bliskim Wschodzie z Rosji.

"*Times*" zapowiada przybycie dalszych oddziałów i lojalnie stwierdza, że wojsko polskie na Środkowym Wschodzie będzie "*a formidable army,*" potężną siłą. Istotnie, odpowiednio wypoczęte, na nowo przeszkolone i przezbrojone wojsko polskie odegra na Bliskim Wschodzie rolę doniosłą. *Duch Polaków*—jak zaznacza zarówno "*Times*" jak i "*Daily Mail*" w doniesieniu swojego korespondenta z Persji—*jest doskonały a ich pragnieniem jest przejście do akcji.*

OFENSYWA LOTNICZA NA RZESZĘ

RAF przeszedł do działania i wyprawia się noc w noc, oraz dzień w dzień nad Rzeszę. Nie zaniedbuje również Francji okupowanej, gdzie uderza w bazy morskie /Brest, St. Nazaire/, jak i baz Holandii /Vlissingen/.

Ofensywa RAF'u dotknęła w pierwszej mierze bazy bałtyckie: *Lubekę oraz Rostock.* Ataki angielskie prowadzone były przy pomocy najcięższych bombowców, przede wszystkim zaś czteromotorowych *Lancaster,* które wypróbowały swojej siły w czasie ataku na Augsburg /za dnia/. W ciągu jednej godziny Anglicy zrzucili na Rostock setki ton bomb, wywołując zamieszanie i pożary, widzialne z odległości 150 km /a więc z brzegu szwedzkiego/. Maszyny brytyjskie przeleciały w jedną stronę 850 km. do Rostock i były napewno atakowane zarówno z ziemi, jak z powietrza. Mimo tych niebezpieczeństw wykonały one swoje zadanie doskonale.

Bombardowanie brytyjskie skierowane jest zarówno na zakłady lotnicze/ pod Rostockiem są zakłady Heinkla/, jak i na te bazy morskie, które posiadają stocznie dla budowy okrętów podwodnych względnie skąd odchodzi pomoc w sprzęcie i zaopatrzeniu na front w Finlandii. Przez dezorganizowanie wysyłki sprzętu i niszczenie transportowców niemieckich, czekających na wyjazd do Finlandii, Anglia oddaje usługę Rosji a równocześnie zabezpiecza sobie szlak atlantycki; ataki na stocznie okrętów podwodnych są zawsze ważne dla Anglików i te właśnie ataki były najbardziej energicznie podtrzymywane w przeszłości.

Anglicy przeszli dzisiaj na bombardowanie za dnia systemem dokładnym i precyzyjnym, przy czym za dnia uderzają w obiekty dobrze oznaczone i wiadome /*Augsburg*/, podczas gdy *w nocy atakują krótko ale ostro, całe miasta, korzystając z tego, że bombowce ich zabierają olbrzymi ładunek bomb.* Atakowanie przez czas krótki jest oczywiście korzystne dla napastnika, albowiem straty wtedy są o wiele mniejsze, a nieprzyjaciel nie potrafi rozwinąć ani odpowiedniego ognia /wstrzelać się i zorientować się w kierunkach nadlatywania aparatów/ oraz zorganizować odpowiedniej obrony myśliwców nocnych.

Ofensywa RAF'u musi być utrzymana. To jest zadanie każdej skutecznej ofensywy. Utrzymanie Rzeszy przez kilka miesięcy pod grozą łupania z powietrza to zadanie, które warto wykonać. Przekonamy się, jak będzie się zachowywała ludność cywilna Rzeszy w czasie "*blitzów*" lotniczych, które Niemcy chętnie zadawali innym, ale których sami nie będą nadmiernie chętnie kosztować.

Jest rzeczą znamienną, że rzecznik kół wojskowych Rzeszy w przemówieniu przez radio tłomaczył ludności niemieckiej, że "RAF dąży do złamania moral społeczeństwa niemieckiego." To ostrzeżenie jest godne zanotowania. Dowodzi, że miarodajne koła niemieckie mają powody do przypuszczania, że jednak ów moral *nie jest najlepszego gatunku.*

OFENSYWA LĄDOWA SIĘ OPÓŹNIA

Uderzenie niemieckie w Rosji nie wyjaśnia się jeszcze. Wprawdzie koła sowieckie mówią, że ożywiona działalność niemieckich aparatów dla lotów nurkowych /t.zw. Stukas/ dowodzi, że armia niemiecka przystąpi niebawem do uderzenia, ale na razie *nie widać jeszcze poważniejszych oznak,* ażeby istotnie tak było.

W warunkach, kiedy na Zachodzie Francja jest poruszona, kiedy w Norwegii też nie jest za spokojnie, kiedy w Belgii rozstrzeliwuje się członków organizacji wojskowej zwanej Białym Legionem, kiedy w Holandii opór trwa—*tyły nie są zabezpieczone.* To zapewne sprawia, że Hitler jeszcze raz przekalkulowuje sobie swoją kampanię wschodnią.

NA ZACHODZIE NIESPOKOJNIE

Akcje prowadzone przez t.zw. *Commandos* są pouczające dla sojuszników, niepokojące dla Niemców. Nie tylko dlatego, że *zmuszają ich do podwojenia czujności na zbyt długiej linii brzegu,* którego żadna armia świata nie potrafiła skutecznie utrzymać, ale i dlatego, że dowodzą one, iż *ludność miejscowa sprzyja Anglikom* i pomaga im w wypadach. Nic więc dziwnego, że von Rundstedt zjawił się w Boulogne i udzielił ostrej nagany zarówno żandarmerii niemieckiej, jak i urzędnikom cywilnym. W St. Nazaire rozstrzeliwania trwają.

We Francji zjawiła się podobno dywizja niemieckich spadochroniarzy, inna przeszła do Norwegii. Koncentracje niemieckie zarówno we Francji, jak w Norwegii są poważne. Okolice Sambry i Mozy zostały wyewakuowane z ludności miejscowej, przyczem Niemcy założyli spore pola minowe. Wszystko to dowodzi, *że obawy niemieckie istnieją.*

Ale czy całe to pogotowie jest tylko przygotowaniem na odparcie ewentualnej inwazji sojuszniczej? Czy przypadkiem nie oznacza to, że sztab niemiecki przygotowuje się *do inwazji W. Brytanii*? Hitler ma do wyboru dalej—w granicach możliwości—albo uderzenie na Wschód, przy trzymaniu defensywy na Zachodzie i narażeniu swoich obywateli na potworne cięgi lotnicze, albo akcję na Zachodzie przy trzymaniu frontu "sztywnego" na Wschodzie.

Czy dokonał już wyboru—nie wiemy. Wszystko dowodzi, że musi on iść na Rosję, ale kto wie, czy sztab niemiecki nie posiada jeszcze jakiejś niespodzianki w tej mierze. Zasadniczo pozostają te dwie możliwości—z tym, że może ich Hitler próbować *kolejno,* w tym roku albo przyszłym.

Ostrożność nakazuje brać pod uwagę także i tę drugą możliwość, chociaż w danej chwili wydaje się ona mocno—*niemożliwa.*

ROOSEVELT ZADOWOLONY

Prezydent Roosevelt oświadczył prasie waszyngtońskiej, że plany rozbudowy przemysłu wojennego i produkcji wojennej, którą nazwał "*mammoth*" /potwornie olbrzymią/ postępują doskonale. Uznał on, że program dozbrojenia będzie wykonany: 185,000 *samolotów bojowych,* 120,000 *czołgów i* 18,000,000 *ton żeglugi w latach* 1942 *i* 1943. Ale Roosevelt sądzi, że będzie można pójść jeszcze dalej i że można będzie stworzyć jeszcze drugi, *dodatkowy plan,* który przekroczy i zdystansuje te iście zabójcze cyfry.

Jest to dobra nowina. Dobrą nowiną jest także to, że 14 *miliardów dolarów pójdzie w nowym roku budżetowym jako dodatek na cele wojenne,* czyli, że budżet wojenny Stanów Zjd. przekroczy poważnie 70 *miliardów dolarów.* Dobra to nowina, że *Ameryka myśli o ataku,* że przygotowuje się do niego, że wysyła co raz więcej maszyn do Anglii, że przesyła tutaj dalej swoje wojska, że woła o akcję na kontynencie.

Dowodzi to, że Ameryka zabiera się do wojny energicznie i że produkcja USA osiągnie cyfry zastanawiające. Nic w tym dziwnego. Ameryka jest bowiem krajem—*przesady.*

Londyn, dnia 27-ego kwienia 1942

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Bez black-outu

Szkocja uparła się w tym roku. Chce koniecznie przypomnieć naszą wiosnę. Tradycyjnie kapryśny szkocki kwiecień zmienił się w jeden z najpiękniejszych, najbardziej słonecznych miesięcy. Słońce idzie spać dopiero razem z nami. Polacy znienawidzili słońce jeszcze wtedy, we wrześniu 1939. *Od tej ostatniej złotej jesieni polskiej każda wiosna budzi w nas sprzeczne uczucia: radosną wiarę, jakąś przerażoną własną śmiałością nadzieję, nerwowe wyczekiwanie i niebezpieczną, paraliżującą wolę —tęsknicę . . .*

W tych słonecznych dniach na wyspie brytyjskiej padło słowo: ofensywa, luzując nareszcie zbyt mocno utrwaloną w umysłach tutejszych defensywę. Słowo to jest kartą rzuconą na stół. Trzeba grać. Partia, zdaje się, jest w okresie przedostatniego robra. Trzeba ocenić i docenić to rzucone śmiało słowo. Musimy sobie zdać sprawę jaką wagę nieocenioną stanowi ono dla cierpiącego, gnębionego Kraju, musimy zrozumieć, co oznacza w naszych warunkach.

Ofensywa to nie tylko zmasowanie sił fizycznych, to nie tylko materialny atak—to przede wszystkim mobilizacja duchowa. Trzeba nielada siły woli, rozsądku i opanowania nerwowego, by zdobyć się na wysiłek duchowy właśnie w tym niebezpiecznym okresie wiosennej nostalgii, gdy kwitnie zielono Anglia, gdy liliowo barwią się wzgórza Szkocji. Przepędzić nam trzeba tegoroczną tęsknicę, zebrać się w sobie, zdobyć się na wysiłek, może najważniejszy w kolejności, może jeden z ostatnich tego typu i decydujący.

Spróbuj Kolego podnieść głowę w górę, ale tak, by nie patrzyć na pagórek szkocki, który budzi w Tobie wspomnienia rodzinnego krajobrazu. Nałóż okulary przeciwsłoneczne i przeciwtęsknicowe, i nie poddając się przejściowym uczuciom, myśl, że w roku tym decydować się będą losy świata na długie dziesiątki lat. Myśl taka to najlepszy zastrzyk wiosenny przeciwnostalgiczny.

Po tym zabiegu pora zabrać się do wiosennych porządków i generalnego prania małych brudów. W ciągu zimy zagnieździło się w nas wiele słabostek, wiele małości. Teraz, gdy przed ofensywą przeprowadzamy w pierwszym rzucie mobilizację ducha, trzeba nasze pogotowie wiosenne zacząć od usunięcia takich drugorzędnych drobiazgów, które w akcji ofensywnej będą kulą u nogi. Trzeba zacząć od zlikwidowania, śmiesznych w takim czasie, sporów ideologicznych i konfliktów osobistych, od usuwania kłód, rzucanych przez ludzi szkodliwych lub głupich na wielkiej ścieżce prowadzącej do Polski.

Przepędźmy precz od siebie zawodowych plotkarzy, politykierów kawiarnianych i defetystów, którzy na dobrą sprawę powinni dostać ścisłą "pakę" aż do ukończenia wojny jako członkowie wewnętrznej "V-tej Kalumnii." Wielką miotłą wymiećmy przepowiadaczy i "komentatorów," którzy przy szklance piwa są mądrzejsi od Roosevelta, a po drugim "ginie" opracowują instrukcje dla Churchilla. Warto sobie uprzytomnić, że każdy z nas stanowi jedno z milionowych kółek tej wielkiej machiny, której obroty nabierają obecnie tak długo oczekiwanego tempa. Uważajmy, byśmy zanadto zajęci drobnymi śrubkami trzeciorzędnego znaczenia nie odpadli po drodze.

Pora wydaje się najlepsza ku temu, by powołać do służby stałej w drodze wiosennej mobilizacji ducha rozum, sumienie i charakter żołnierza. Przypomnijcie sobie te czasy, kiedy rwaliście się z obozów rumuńskich, węgierskich na wolność do Francji, przypomnijcie sobie długie chwile wyczekiwania na nową broń tutaj w Wielkiej Brytanii. Jest wolność i jest broń. Jest rzucone hasło. Czy w takim momencie nie warto rozpędzić na cztery wiatry specjalistów od zatruwania atmosfery, którzy prędzej czy później odpadną na tym czy innym etapie naszego wielkiego i trudnego marszu powrotnego.

Nie można ukrywać prawdy. Zbyt dużo widuje się na naszym terenie młodych ludzi zachwianych nerwowo. "Kolega X-skończył się"—oto stereotypowe polskie powiedzonko. Co to znaczy? To znaczy, że ten "skończony" pęta się w oddziale wojskowym pomiędzy jedną "paką" a drugą, pije, nosi wersje, słucha radiowych komunikatów brytyjskich z drwiącym, czasem głośnym śmiechem, w nic już nie wierzy i na nic nie czeka. Albo drugi wariant tego samego tematu: taki "skończony" idzie do szpitala chorując na urojone niedomagania. W jednym i w drugim wypadku ta ofiara wojny i własnych nerwów staje się plagą otoczenia.

Zastanówcie się więc nad tym Koledzy, czy nie żołnierski to obowiązek takiego "skończonego," rannego moralnie towarzysza broni podeprzeć i ratować? Czy nie należy poświęcić mu trochę czasu, nawiązać rozmowy o rodzinie, o Kraju, upewnić go, że jest cenną jednostką dla przyszłości, powiedzieć mu, że wojsko to nie tylko zmora pobudek, zbiórek i odpraw, ale siła, zdobywająca wolność. Porozmawiaj z nim Kolego, może uratujesz jedną duszę, a to w okresie przygotowań do ofensywy wielka zdobycz.

W chwili mobilizacji ducha otwiera się szerokie pole dla broni, która nosi brzydką, zohydzoną nazwę—dla polskiej "propagandy wojskowej." Broń ta, którą wolał bym nazywać niezatwierdzoną urzędowo nazwą: "wychowania narodowego i walki duchowej z wrogiem"—ciągle bywa jeszcze niedoceniana. Dziwna rzecz, że właśnie Polacy, którzy najwięcej ucierpieli od obstrzału wrogiej propagandy dobrze czasem przemyślanej i zorganizowanej, nie doceniają możliwości, zasięgu i skuteczności tej broni. Nowoczesne poglądy stawiają propagandę obok produkcji jako czynnik niezbędny dla wygrania wojny.

Tymczasem . . . tymczasem: trafiają się wśród naszych typy dowódców na różnych stopniach, którzy nie wychodząc z szablonu 1914-1918, współpracując ciągle ze słynnym "generałem Schimmlem." twierdzą, że: "propagandą wojny nie wygramy." Propaganda w historii tej wojny może poszczycić się wygraniem wielu bitew. Nasza na razie toczy bitwy . . . z Polakami, łamiąc przeszkody na froncie wewnętrznym, mnożone bez liku. Najwyższy czas usunąć szablony, wyposażyć tę broń tak, by w chwili ofensywy mogła uderzyć całym aparatem środków tam, gdzie okaże się potrzeba. Propaganda wojskowa, a więc wychowanie narodowe i walka duchowa z wrogiem spotykają się jeszcze ciągle z upartym, nierozsądnym uśmiechem "militarystów" spod starej daty.

Dla pracowników oświaty i propagandy wojskowej nie będzie nowością taki groteskowy schemacik starań o przydział nowego człowieka do pracy propagandowej: w oddziele Y. jest strzelec Pietruszka, który jest specjalistą fotografem, mechanikiem radiowym lub prasowcem, jak wolicie. Nieznany nikomu Pietruszka ma kategorię "F." i lat 45. W powołanym wyżej oddziele Y. obiera ziemniaki na stanowisku I-go zastępcy kucharza kompanijnego, leży pod samochodem lub siedzi "odpowiedzialnie" przy telefonie. Propaganda wojskowa daje wniosek o przydzielenie go do obsługi: prasowej, radiowej, filmowej—jak wolicie. Od tej pory zaczyna się Pietruszkowy szał. Nic nie znaczący do tej pory strzelec urasta wskutek jednego pisma do rangi najważniejszej osoby w oddziele. Ciągają go po raportach i odprawach:

—"Cóż to, Pietruszka, chcecie podobno do artystycznej roboty?"

Wmawiają w biedaka, że ponad kartofle i telefon nie masz piękniejszej broni, że poco mu włazić między "artystów," czy "redaktorów," że zawsze "w linii" awans pewniejszy. Zdetonowany Pietruszka w drugim dniu takich zabiegów, zaczyna się wahać. Równocześnie oddział rozwija wszystkie linie ataku, żeby zatrzymać swojego "człowieka," który widocznie jest "aż" tak sławny, że "aż" "Londyn" się o niego dobija. Kończy się zwykle na tym, że wniosek propagandy wraca "załatwiony negatywnie," a strzelec Pietruszka, należycie "obsztorcowany" przez wszystkie instancje podoficerskie i oficerskie, pozostaje z przydomkiem "artysta" w oddziele, nie zmieniając swej pozycji moralnej i tej . . . pod samochodem, w kuchni i przy telefonie.

Tak, tak, robimy dużo głupich rzeczy czasem przez upór, czasem przez fałszywą ambicję, a czasem dla tradycyjnego sportu: wzajemnego robienia sobie na złość. A szkoda. Bo gdyby ta niedoceniona broń naszej propagandy wojskowej rozporządzała całkowitą, rozumną pomocą na wszystkich szczeblach, można by wygrać nie jedną potyczkę o ratowanie "skończonych dusz" w okresie przedofensywnym, a napewno wiele bitew na froncie zewnętrznym w chwili decydującej. Broń ta po skutecznym zwalczeniu przeszkód wewnętrznych powinna w najbliższym czasie stać się zaczepną wobec wroga.

Propaganda wojskowa do tej pory nie ujawniała swoich kłopotów. Piszę nie bez pewnej obawy, że w poczuciu wrodzonej dyskrecji nie zechce i tym razem wydrukować tych "bezblackoutowych" spostrzeżeń. Nie mniej przeto uważam, że dla dobra sprawy, powinno się właśnie w chwili obecnej ujawnić te kłopoty, właśnie teraz, gdy zespoły propagandowe winny sposobić się do działań rozstrzygających.

Aktualny więc będzie apel do wszystkich, zainteresowanych mobilizacją ducha w tym okresie wiosennych tęsknic i zmagań: jeżeli już nie możecie intensywnie pomóc tej nowoczesnej potężnej broni, to przynajmniej nie przeszkadzajcie sprawom jej w terenie, w chwili, gdy aparat ten równie starannie szykuje środki do walki —jak wy działa i czołgi "somewhere in Scotland."

Po oficjalnym apelu mała prośba koleżeńska: nie witajcie żołnierzy tej niewdzięcznej, niedocenionej broni propagandowej uśmieszkiem politowania, że niby . . . wy "liniowcy" a oni . . . "tyły." Dziwna ta wojna pochłonęła do tej pory tysiące ofiar po stronie Aliantów i Osi spośród korespondentów wojennych, sprawozdawców radiowych, członków kompanii propagandowych, teatralnych i operatorów filmowych.

"Tyły" w tej dziwnej wojnie bywają czasem na przodzie.

Grunt, żeby głowa była na swoim miejscu, a nie . . . w tyle.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Z życia obozów

"Rozśpiewany pluton"—jugosłowiański

Nazwaliśmy ich rozśpiewanym plutonem, umuzykalnienie bowiem było ich najbardziej zasadniczą cechą. Tacy już byli ci Jugosłowianie: gdziekolwiek znalazło się choć paru z nich: w świetlicy, czy kantynie—zaraz ściany rozbrzmiewały pięknymi jugosłowiańskimi pieśniami.

Baon Podhalański I Brygady przygarnął ich jak braci, a oni odwzajemnili mu się najserdeczniejszymi uczuciami przyjaźni. Wkrótce po przybyciu do nas na okres przeszkolenia zadomowili się, jakby byli tutaj od niepamiętnych czasów.

Uczucia sympatii, jakimi nas darzy społeczeństwo szkockie spłynęły również i na nich. Dobrze było nam z nimi i im z nami.

Chcę opisać—z opóźnieniem, za które ponosi winę moja kronikarska opieszałość — jak "rozśpiewany pluton" obchodził święta Bożego Narodzenia. Według obrządku wschodniego święta te przypadają na dzień 6 i 7 stycznia. Cały obchód świąt pełny jest u Jugosłowian malowniczych obrzędów.

Do najciekawszych z nich należało niewątpliwie tradycyjne szukanie "badniaka" w dniu wigilijnym, t.j. specjalnie upatrzonego, suchego pnia drzewnego, który się wycina w lesie. Punktualnie o godz. 12 w południe, w dniu wigilijnym, grupa żołnierzy jugosłowiańskich w pełnym rynsztunku bojowym wybrała się do lasu w pobliże miejsca zakwaterowania t. zw. "Baonu Szkockiego." U skraju lasu oczekiwali już na nich nasi żołnierze z dowódcą baonu na czele.

Po wspólnej "lampce wina" Polacy i Jugosłowianie udali się razem na poszukiwanie "badniaka." "Badniak" został ozdobiony przybraniem choinkowym, udekorowany został również samochód, który wiózł całą ekpedycję. W drodze powrotnej do miejsca zakwaterowania plutonu jugosłowiańskiego, jednej z kompanii Baonu Podhalan, śpiewom i strzałom na wiwat nie było końca.

Tymczasem druga grupa żołnierzy jugosłowiańskich, pozostała na miejscu, czyniła przygotowania do wigilii. Pięknie przybrano świetlicę, w której miała odbyć się wieczerza, podłogę zaś zasłano słomą; musiała ona pozostać zgodnie z tradycją, nietknięta przez cały czas świąt. Na dziedzińcu rozpalono wielkie ognisko. Na nim właśnie został uroczyście spalony przywieziony "badniak." Spaleniu towarzyszył obrzęd rzucenia ziaren zboża na cztery strony świata: "aby dobrze rodziło."

Przy płonącym ognisku odbywały się tańce, odmawiano modlitwy i śpiewano melodyjne kolędy jugosłowiańskie. Cały obrzęd wigilijny przypominał raczej jakieś starodawne święto słowiańskie, niż wigilię w naszym pojęciu. Było tu coś,co przypominało prasłowiańskie obrzędy.

Wigilijne potrawy jugosłowiańskie przypominają polską kuchnię tradycyjną w tym dniu. Np. muszą być nieodzownie w menu kluski z makiem. Dzień Bożego Narodzenia upłynął u Jugosłowian bardzo uroczyście. Na uroczysty obiad, którego głównym daniem był baran pieczony na rożnie przy ognisku, przybył Dowódca Brygady.

Najstarszy stopniem oficer jugosłowiański witając Generała, wygłosił wzruszające przemówienie. Mówił o tym jak skromny wkład do kapitału przyjaźni obu narodów włożyli Jugosłowianie podczas pobytu polskich uchodźców w ich kraju i jak odsetki od tego kapitału przerosły obecnie wielokrotnie sam wkład, a przecież odruchy serdeczne wobec Polaków były powodowane przez zew krwi tylko. Dowódca Brygady porównał w swym przemówieniu bohaterstwo Serbii w 1914 roku i Polski w 1939. Oba te kraje musiały pierwsze wystawić czoła najazdowi teutońskiemu.

Wśród miłego nastroju, wśród śpiewu kolęd i tańców zeszedł wspólny obiad świąteczny. Od tego czasu Jugosłowianie stali się jakby cząstką naszej "rodzinnej wspólnoty" brygadowej. Wydawało się, że się chyba z nimi nie rozstaniemy, byli nieodzownym rekwizytem naszego życia żołnierskiego. Nadszedł jednak dzień żegnania. Jugosłowianie mieli odejść do lotnictwa i marynarki po parumiesięcznym przeszkoleniu w polskich szeregach.

Na placu alarmowym baonu Podhalańskiego wyciągnęły się długie szeregi żołnierzy, wśród których widać było "rozśpiewany pluton." Specjalny wysłannik króla Jugosławii, min. Kuhar dekorował kilku oficerów polskich orderami jugosłowiańskimi. Przedstawiciel armii jugosłowiańskiej odczytał przy tej okazji specjalny rozkaz króla do swoich żołnierzy. Dziękując za odznaczenia dowódca brygady zapewnił Jugosłowian, że pamięć o nich będzie na zawsze zachowana wśród żołnierzy 1. Brygady Strzelców, zadzierzgnięte zostały bowiem więzy przyjaźni między obu narodami, które przemieniły się w "w federacje uczuć."

Uroczysty,ostatni wspólny obiad żołnierski zakończył oficjalną część uroczystości. Przemawiał na nim w imienu Naczelnego Wodza, Dowódca Korpusu. Generał przypomniał, że w walkach wolnościowych Jugosławii brała udział grupa polskich oficerów, emigrantów. Dzisiejszy pobyt Jugosłowian—to jakby rewizyta za tamte dawne czasy.

Nieoficjalna część uroczystości zaczęła się dopiero później, gdy żołnierze jugosłowiańscy żegnali się już "w pojedynkę" ze swoimi przyjaciółmi. Wylano raczej więcej "wody ognistej," niźli łez czułości przy tej okazji, jako że "rozśpiewany pluton" słynny był również z poczucia humoru.

Mieszkańcy małego "garnizonowego" miasteczka Szkocji pamiętają ten dziwny, maskaradowy jakby pochód podczas karnawału. Pochód, kroczący ulicami miasteczka otwierał żołnierz jugosłowiański, niosący z powagą transparent, na którym widniał napis: "Poszukujemy dziewczyny szkockiej, która nie zna polskiego żołnierza."

Kiedy umilkły ostatnie dźwięki hymnu jugosłowiańskiego, granego przez naszą brygadową orkiestrę, a pociąg londyński znikać począł szybko w wieczornych mrokach, uwożąc "rozśpiewany pluton"—zdaliśmy sobie jasno sprawę, że to była przyjaźń prawdziwa.

JAN LACHOWICZ



Baran z rożna "po jugosłowiańsku"

"Badniak" bożonarodzeniowy



fot. Prytyś

Gimnazjum wojskowe



—Bombardier L. zamelduje się natychmiast w Dowództwie Pułku wrzasnął służbowy, wpadając na salę.

Bombardier L., to niby ja—pomyślałem. Ale co oni chcą ode mnie? Zacząłem w pamięci przebiegać ostatnie dni. Jakoś nic "nie podpadało." W P . . . nie byłem, w politykę się nie bawię, wierszy do żadnych pism nie piszę, z żandarmerią nieporozumień nie miałem.

— Tylko się pośpieszyć—przerwał pełną niepokoju zadumę, groźny służbowy.

Poszedłem. Szef kancelarii popatrzył na mnie ciekawie. Nigdy tak nie patrzył.

— A, to wy?

—Tak, to ja, panie ogniomistrzu.

— Nigdy się tego po was nie spodziewałem. Wyglądacie zupełnie uczciwie. Mieliście nawet opinię porządnego żołnierza. A tu takie szydło z worka wylazło.

—Melduję, że o niczym nie wiem. O co chodzi, panie szefie?

— O co chodzi, serdeńko? Do gimnazjum jedziesz!! — huknął pan szef.

I tak się stało. Pojechałem. Szkoci patrzyli z przerażeniem na polskiego wojaka upadającego pod ciężarem tobołów, szalejącego na stacjach w pogoni za pociągami.

Wreszcie po trzech dniach podróży dobiłem do brzegu t.j. gimnazjum. Ostatni etap drogi przebyłem autobusem pocztowym. Było to coś w rodzaju dyliżansu. Takie same miał maniery, jak poczciwe dyliżansy z "Klubu Pickwicka" i co dwa kilometry zatrzymywał się, by pobrać pocztę. Pasażerowie bardzo się niecierpliwili. Wprawdzie tylko ja ich reprezentowałem, ale i taka znikoma liczba pasażerów podobno rzadko tu jest notowana.

Droga była piękna. Sam "Highland." Wokoło góry, lasy, jeziora, wąwozy i . . . prześliczny, prawdziwy śnieg. Co prawda oglądanie krajobrazu mocno było utrudnione, bo mój "driver" przywalił mnie worami z pocztą.

— "*Will be warmer.*"—powiedział i miał rację.

Wreszcie przyjechałem. Szkoła, zupełnie nie szkoła. Piękny zameczek w starym parku, wśród gór i jezior. Zameldowałem sie w kancelarii. Właściwie to się nie zameldowałem, bo jak gimnazjum, to nie wojsko—pomyślałem i pomyliłem się zaraz na samym wstepie, bo okazało się, że właśnie wojsko. Dyrektor—porucznik.

Blado jest—myślę sobie. A kiedy dyrektor porucznik powiadomił młodego kandydata na inteligenta, że tu, synciu internat, przepustka raz na miesiac, osiem godzin nieusprawiedliwionych i jazda do mamy-baterii z powrotem—mina zrzedła mi zupełnie. Zwłaszcza, że (jak się okazało) miał rację bo czasu mało, a roboty huk!

I tak łacina zastąpiła armatę, algebra karabin i pan bombardier stał się znów skromnym "sztubakiem."

Jest tu nas około stu. Przeważnie "zieloni," trochę niebieskich mundurów lotników i paru ostatnich Mohikanów-cywili. Program dnia prawie jak w koszarach. Pobudka, apel, śniadanie, lekcje do pół do drugiej, obiad, nauka własna, kolacja, apel, czas wolny do jedenastej, gaszenie światła.

Najmilsze lekcje to łacina. "Satyr" szaleje, bohaterowie z pod Narwiku kulą się w ławkach. *Gerundivum* ani rusz nie chce się zamienić na *gerundium*, *participia* zagubiły sę w wędrówkach przez zielone granice, *coniunctivus* zginął w wodach mórz. A "satyr" obala i przeinacza święte słowa pana szefa i twierdzi, że tu nie wojsko, trzeba myśleć.

Mija przecież i łacina. Jest teraz higiena. Doktór, zrzęda i samotnik o złotym sercu, wbija się w ławkę, oplata ją nogami i wmawia w nas, że—ból, jako taki, nie jest choroba sam w sobie. Jak boli, to dobrze, świetnie. Lekarz sie cieszy, gdy boli, bo to znaczy, że organizm sie broni.

Kto da przykład bólu bez jednoczesnego patologicznego stanu organizmu?

— Ból serca, gdy wydaję ostatniego szylinga—odpowiada ostatnia ławka.

Fizyka właściwie nie jest lekcja fizyki, lecz solowym wystepem czarodzieja. Jak meteory pojawiają się mikrokosmosy, makrokosmosy, energie, fale, promienie podlane sążnistym sosem błyskawicznie pisanych wzorów. . . . A wszystko oplątane, oszołomione przedziwnym tańcem kroków, przysiadów, nagłych skoków i tajemniczych gestów rąk naszego wykładowcy.

—Poproszę pana do tablicy. Taki mały przykładzik dla rozerwania umysłu. (po chwili) Człowieku! Pierwiastek z dwóch! Trzymajcie mnie! Upadnę (pada na ziemię i zaraz wstaje). Gdzie głowa?

— No to jasne, humanista..—i łagodnie prowadzi myśl zwątpiałego w swe siły biedaka. Aż wspólnym wysiłkiem obaj zadowoleni ze siebie, zrobili zadanie.

Polski. (Tego cenzor niech nie wykreśla. Autor sam poniesie konsekwencje tego, co czyni). Wchodzi ON—"Mrówka." Wojacy pobledli, i jest cisza . . . Wiadomo, dyrektor - porucznik trzyma nas krótko.

— Jakież to cele stawia Mickiewicz emigracji? Kapucikiewicz?—

— Mickiewicz . . . prawda . . stawia nam zadania. . .

— Zaraz. Nieprawda. Prawda? Nie, właśnie, że nieprawda. Synciu. Nauczcież się wreszcie mówić czysto, bez naleciałości. Unikajcie w waszych określeniach i wypowiedzeniach się, pierwiastka subiektywizmu i starajcie się mówić nieosobowo. No dalej, synciu—

Lekcja z "Mrówką," to loteria. Jak zgadniesz o co mu chodzi, to jakbyś los wygrał.

Kończy się wreszcie polski-loteria i zaraz jest obiad. "Perełka" biega po repetę, zjada ją w ogonku do następnej repety.



Po obiedzie "*school boys*" walą na spacer. Jest śnieg, świeży, miękki śnieg. Rozpoczyna się ogólny "wycisk." Czasem jęknie jakaś szyba i osunie się w śnieg, zniechęcona do życia. (Albo jest wojna, albo nie ma wojny).

Około czwartej zamek ucisza się, milknie. Słychać tylko tu i ówdzie zapamiętałe kucie. To "kujony" wbijają w mózgownice zaśniedziałe, stare prawdy życia. Na ogół uczą się wszyscy. Marceli tylko chodzi od pokoju do pokoju i pilnuje, żeby się nikt nie przemęczał.

Tak mija dzień. Nadchodzi wieczór. Kolacja, apel, modlitwa i znowu praca do 11-ej.

Szkoła choć pozornie cicha, żyje, tętni, pracuje. Zwolnieni na czas trwania kursu wojskowi zdobywają wiedzę, by wróciwszy do kraju móc podjąć się pracy, pracy ogromnej, wymagającej sił, zapału i wiedzy.

WACŁAW LISZKOWSKI

Adresy rodzin wojskowych w Z.S.R.R.

Ogłaszamy czwartą listę adresów przekazanych nam przez Biuro dla Spraw Rodzin Wojskowych. Por. poprzednie listy w nr. 9, 16 i 17 "Polski Walczącej" z b.r.

WYKAZ nr. 18 (dokończenie)
Kujbyszew, 19.XII.1941

Osuch Jadwiga, żona ppor., z dzieckiem i rodzicami: Semipałatyńsk Majakowskiego 129.

Polowczyk Janina, żona st. sierż., z 3 dzieci: Marińskaja obłast Morkiżyński rejon poczta Wieszura Nurumbalski p/p kw. 31.

Polowczyk Rozalia, żona sierż: Kazachstan Pawłodarskaja obłast Łozowskij rejon pocz. Łozowaja.

Porazińska, żona por.: Pawłodarsk Beksaragejski rejon Semiarsk ul. Lenina 51.

Paszkudzka Helena, żona mjr.: Semipałatyńsk Ajaguzki rejon sowchoz Hynbuak ferma. 1.

Przychodzka Regina, żona przod., z 2 dzieci: Pawłodarskaja obłast Kaganowskij rejon sieło Jerman.

Paszkiewicz Margaryta, siostra płk., z 3 dzieci: Siewiero Kazachstańska obłast Oktiabski rejon Sokatowka sieło Dwojniki.

Pelc Janina, żona płk., z 2 dzieci: Semipałatyńsk, Sowieckaja 100.

Piontkowska Maria-Danuta, żona ofic., z córką: Semipałatyńsk Urdzar poste-restante.

Pisarykowa Maria: Urdżar Sowieckaja 42.

Pleban Władysława, żona przod., z synem: Semipałatyńsk, Zaton Swiniobaza 1.

Prokosz Czesława, żona por., z dzieckiem i rodzicami: Semipałatyńsk Majakowskiego 129.

Płaneta Emilia, żona sierż: Pawłodarska obłast Bies-Karagajskij rejon Kononerkapocz.

Polniaszek Danuta, żona płk.: Tock 5 D.P. pluton oświatowy.

Polniaszek Aurelia, żona płk.: Semipałatyńsk Zana Semiej Kirłiicznyj Zawod 1.

Pleus Elżbieta, żona wojsk. z dziećmi: Semipałatyńsk Swiniobaza 1.

Pogowska Stefania z matką: Aktiubińskaja obłast, Chobdguski rejon poczta Nowoaleksiejewka.

Radzikowska, żona kpt.: Pawłodarskaja Bekserański rejon Samjarsk ul. Lenina 51.

Rudkowska Jadwiga, żona płk., z 2 dzieci: Swierdowskaja obł. poczta Irbej.

Różańska Joanna, żona kpt.: Aktiubińskaja obłast Temir kołchoz 1 maja.

Rayski, Edward, kpt.: Buzułuk, sztab garnizonu.

Różycka Maria: Maryjska Morkińskij rejon bolszoj Jarano poduczastek Oziero.

Rozwadowska Stanisława, żona por., z synem i siostrą: Akmulińskaja obłast poczta Maksymowka 95 razjezd 6 około dok.

Rewacka Cecylia, żona ofic., z córką: Kustanajskaja obłast Oziernaja Kołchoz pozaw Kicza.

Rekmanowa Zofia, żona por. z córką i matką: Semipałatyńsk ul.

Rokicka Helena: Taranbuł miasosowchoz 303.

Rymkiewicz Pelagia: Buzułuk.

Reder Zofia, żona płk. z 2 dzieci i matką: Semipałatyńskaja obłast Borodulicha.

Szpuna Rozyma, żona ofic., z 2 dzieci: Semipałatyńsk Swiniobaza.

Slósarczyk Angela, żona mjr.: Uśćtobe Wodopodymnaja 14.

Strejczkowa Gizela, żona st. sierż., z 3 dzieci: Maryńskaja resp. Morkijskich rejon poczta Wesszczura Mirmibalski p/p kw. 31.

Springer Anna, żona st. sierż., z 2 dzieci: Maryńskaja resp. Morskijskich rejon poczta Wesszczura Mirmibalski p/p kw. 31.

Spasowicz Zofia: Samarkand poste restante.

Słanarz Maria, żona ppłk., z córką: Czelabińska obłast Woroszyłowski rejon Karabasz ul. Ługowaja 1 m.3/b 1.

Skurczyńska Olga, żona kpt., z dziećmi: Aktiubińskaja obłast Chołda kołchoz Woroszyłowa poczta Nowoaleksiejewka.

Stepańczak Emilia, żona przod., z córką: Aktiubińskaja obłast Chołda kołchoz Woroszyłowa poczta Nowoaleksiejewka.

Siemiejska, żona kpt., z 2 dzieci: Dżambulskaja obłast Czuski rejon Nowotrepsk Sadowaja 16.

Szczepanik Władysława: Omskaja żel. droga Mamlutińskij rejon p.o. Dubrowińskoje kołchoz Nowy Swiet.

Suszyńska Jadwiga: Omskaja żel. droga st. Bułajewo seło Połtawka.

Skupniewska Zofia, żona mjr.: Semipałatyńsk Komitet Amb. Polskiej.

Szewczokiewicz Wincenta: Semipałatyńsk, Zaton Swiniobaza.

Smolski Jerzy, syn kpt. z 2 siostrami i matką: Pawłodarskaja obłast Bezkorağański rejon sieło Sosnowka.

Skrzyńska Jadwiga, żona wojsk.: Ałtkraj Parfenowo, st. Tupczycka Piszczeprom.

Szafranowa Jadwiga z 2 córkami i matką: Semipałatyńsk ul. Gorkiego 19 polski komitet.

Samecka Klementyna, żona kpt., z 2 dzieci: Kustanajska obłast Pieszkowska rejon Batmanowka.

Sokołowska Irena, żona kpt., z córką: Akmolińskaja obłast Atbasarskij rejon st. Ader Nowoaleksandrowskij.

Smyczyńska Irena: Akmolińskaja obłast Atbasarskij rejon st. Ader Nowoaleksandrowskij.

Szczepanowska, żona mjr.; Semipałatyńsk, Urdzar.

Samójtowicz-Salamonowicz Maria, żona ppłk., z 2 dzieci: Aktiubińskaja obłast Zurawlewka.

Snarska Maria: Kazachstan Mamlutskij rejon Dubrowno II pocztowoje otdielenie ul. Woroszyłowa 13.

Siwicka Zofia, żona kpr., z 3 dzieci: Pawłodarskaja Kazanowiczewskij rejon sieło Jermak Linina 11.

Steja Maria, matka z synem: Semipałatyńsk—Zaton Swiniobaza.

Schenker Anna, żona kpt. z 2 dzieci: Maryjskaja S.S.R. Rozmodieniańsk poczta Dubowa Lesonczastok Pierwomaj.

Sommer Wanda, żona por.: Kustanajskaja obłast Proesnogorskij rejon pos. Kaban.

Słowikowska Helena, żona insp. str. gr., z matką: Semipałatyńsk Zaton Swiniobaza.

Szymańska Bronisława, żona mjr.: Kustanajskaja obłast Kokpektyńskij rejon posiołek Bannowka.

Skibińska Michalina, żona por.: Kustanajskaja obłast Siemiozerny rejon Kuszmurun 12.

Slizowska Stanisława, żona sierż: Kustanajskaja obłast Siemiozerny rejon pos. Czułeksoj.

Szymczak Olga, żona plut., 5 osób: Semipałatyńsk Majakowskiego 129.

Sajewicz Emilja, żona plut.: Semipałatyńsk Zana Semiej ul. Glinki 22.

Straszyńska Zofia, żona ppor., z córką: Semipałatyńsk Zaton Swiniobaza 2.

Szabłowska Apolonia, żona kpt.: Semipałatyńsk Gorkogo 19a.

Sacheti Maria, żona por., z 2 dzieci: Semipałatyńsk Kożzawod barak 34.

Stampfel Stanisława, żona płk.: Semipałatyńsk Ajaguski rejon Sołchoz Mynbukuł.

Truczkowa Zofia żona ofic., z córką: Maryńskaja S.S.R. poczta Ozierki Kozmodieniańsk posiołek Triwutki skrz. pocz. 10.

Takusiewiczowa Tamara, żona ppor.: Pawłodarskaja obłast Kaganowiczewskij rejon sioło Jermak ul. Marksa 10.

Tarczyńska Albina, żona por., z 3 dzieci: Aktiol, obłast Chobda rejon Kołchoz Woroszyłowa poczta Aleksandrówka.

Twardowa Amelia, żona kpr., z 3 dzieci: Semipałatyńsk Zaton Swiniobaza.

Tyblewska Janina, żona rtm., z 2 dzieci: Semipałatyńsk 7 kwartał 51.

Tyszkowska Aniela, żona por., z babką: Semipałatyńsk Zaton Swiniobaza.

Typrowicz, żona mjr.: Semipałatyńsk Zana Semiej.

Tromteler Krystyna, żona mjr. Kustanajska obłast posełok Bannowka.

Trojewska Karolina, żona mjr.: Urdżar Komsomolska 625.

Trojanowicz Janina, żona wojsk: Semipałatyńsk Swiniobaza.

Walczak Kazimiera, żona wojsk., z dzieckiem: Maryńskaja republ. Morkisjkij rejon pocz. Weszczura Nurubalskij p/p kw. 31.

Wójcińska Teresa, żona kpt.: Semipałatyńska obłast Zarnejski rejon Georgejewka Sowiecka 91.

Wolska Janina, żona ofic., z 2 dzieci: Kazachstan Pawłodarskaja obłast Irtyszski rejon Ziernosowchoz.

Wieliczko Aniela, żona ppor.: Pawłodarskaja obł. Kaganowiczewskij rejon seło Jermak ul. Gorkowa 11.

Wawrykowa Jadwiga, żona kpt., z matką i siostrą: Semipałatyńsk ul. Gercena 144.

Wojtulewicz Maria, żona ofic.: Irkucka obłast Bodajbo.

Wojewódzka Maria, żona kpt., z 2 dzieci: Siewero Kazachstan st. Kijały Karagard żel. dr. stroicielstwo elewatorów barak 1.

Wilkiewicz Zofia z rodziną: Ałtajski kraj Bernaułt Wostoczny posiołek 1.

Widacka Maria z córką: Pawłodarskaja Ajdagoł Palatyńskij sołchoz.

Wartanowicz Krystyna, żona por., z 2 dzieci: Semipałatyńsk Zaton Swiniobaza.

Wilczyńska, żona ofic., z dzieckiem: Semipałatyńsk Zaton Swiniobaza.

Wałengowa Helena, żona podof., z córką: Kustanajskaja obłast st. Oziernaja pow. zaw. Ilicza.

Wawra Ludwika, żona podof.: Semipałatyńsk Zaton Swiniobaza.

Wczelik Zygmunt, ojciec kpt.: Semipałatyńsk Kazachstańska 54.

Zułowska Janina, żona wojsk., z 2 dzieci: Aktiubolskij rejon Chobdackij rejon poczta Nowoaleksiejewka.

Zoło Helena, z córką: Aktiubińskaja obłast Chobdacki rejon Chersońskij posiołek Udarnik kołchoz.

Zdrochecka Danuta, żona kpt., z synem: Pawłodarskaja obłast Bezsaraczeński rejon Semijarsk Lenina 51.

Zacharaciewicz Janina: Semipałatyńsk Zaton.

Zajkowska Maria, żona post.: Sewero Kazachstanskaja obłast Kinylowka seło Kamienny Brod.

Ziobro Stanisława, żona kpt., z 3 dzieci: Toskoje Czkałowskoja obłast 3 ośrodek Armii Polskiej.

Zimnoch Wiktorja, żona kpt., z rodziną: Ałma Ata Umijskij rejon Tagar poste-restante.

Zoerner Aleksander, płk.: Kazachstan Kzyt Orda poste-restante.

Zurawska Stefanja, żona wojsk.: Semipałatyńsk zaton Kutzabad.

Zaruska Iza, żona gen.: Nowosybirskaja obłast Karagaskij rejon Bondarka.

Zurawska Weronika, żona podof.: Semipałatyńsk ul. Gorkiego 19a.

Zwierzycka Weronika, matka ofic., z synem: Semipałatyńsk Zaton Swiniobaza.

WYKAZ nr. 19.

/Data wysłania z Kujbyszewa do Londynu wiadomości o miejscu pobytu poszczególnych rodzin podana jest przy każdym adresie./

Bysakowskiego kapitana żona: Dow. Wojsk Polskich Jangi Jul—8.IV.42 r. /żona prosi o wiadomości o mężu/.

Ciesielska Anna z domu Henzel żona st. sierż. Jana: Norwegian Legation Kouibychev—3.IV.42 r.

Fisher Ludmiła żona por. Maksymiliana: Aktiubinskaja obłast, post office Stepanowka, posiołok Jefremowka—7.IV.42 r.

Gaździk Teofila z domu Książek, żona por. Jana: Kirgiskaja SSR, obłast Dżałałabad, rejon Leninskij, s/s Lenino-soł Kołchoz Bolszewik—8.IV.42 r.

Jasińskiego Albina Mariana generała żona: Iwanowskaja obłast, Makarewskij rajon, Pikiet 135 Komsomolskij M.L.T.—7.III.42 r. /żona prosi o wiadomości o mężu/.

Kropińska Stefania: Aktiubińskaja obłast, Martuk rejon, Post Stepanowka, kołchoz Obszczij Trud—26.III.42 r.

Krzysztoforska Maria z domu Matczak żona kpt. Jana: Jangi Jul skrzynka pocztowa 14—8.IV.42 r.

Łepkowska Ada z domu Kasparek, żona kpt. Henryka: Jużno Kazakstanskaja obłast, Lenczerskij rejon, Gieorgiewka, Stalina 47—3.IV.42 r.

Leszczyńska Maria z domu Szynkowska żona ppor. Zbigniewa: Akmolinskaja obłast, Jesilskij rajon, post Jesil, railway Akmolinsk Kartaev Most Iszin—28.III.42 r.

Lulko Maria żona kapitana Benedykta, urodzonego 1897: Aktiubinskaja obłast, Dżurun Leninskaja 40—31.III.42 r.

Łukaszewicz Janina, żona por. Jerzego: Kustanajskaja obłast, stancja Oziernaja, kołchoz Pozawietam Iliicza—8.IV.42 r.

Maćkowiak Felicja: Nowosybirskaja obłast, Parabelskij rajon, post office Starica, posiołok Pristanskoje—28.II.42 r.

Maniszewska Małgorzata, córka kpt. Aleksandra, wraz z ciotką Marią Pisarikową: Semipałatyńskaja obłast, Ajaguz, kwartał 80 lub też 30—31.III.42 r.

Olszewska Helena z domu Klostermeyer żona kpt. Franciszka: Samarkand, Tygomyshelewskaja 3 Tupik 28 2 0 Filin Taczenka—3.IV.42 r.

Otwinowska Jadwiga z domu Adamowicz, żona kpt. Stanisława, wraz z córką Anną i ciotką Przybylską Leokadią: Szachriziab Polish Division—3.IV.42 r.

Paulik Zofia żona Adama i Paulik Wanda żona Franciszka: Semipałatyńsk Gorkago 19—3.IV.42 r.

Połujan Stefania z domu Woydag żona ppor. Stanisława: Pawłodarskaja obłast, Maksimgorkowskij rajon, Oktiabrskij Zersowchoz ferma 2—3.IV.42 r.

Schottek Bronisława z domu Teper, żona Juliusza: Akmolinskaja obłast, stancja Atbasar, Montażnyj Pojezd 39—8.IV.42 r.

Serwatowska Wanda z domu Puzyna, żona Władysława: Semipałatyńskaja obłast, Urdżar, Szmidta 2—3.IV.42 r.

Skwarczyńska Katarzyna, z domu Jaruzelska, żona por. Stanisława: Semipałatyńskaja obłast, Żarminskij rajon, Gieorgiewka, Stalinskij sel kołchoz Stalina—3.IV.42 r.

Skwierczyńska Amelia, z domu Kryńska, żona por. Leopolda: Akmolinskaja obłast, Makinka, Niekrasowa 36—3.IV.42 r.

Stelmach Ludmiła z domu Jasińska żona kapitana Romualda: Swerdłowskaja obłast, Serwskij rajon posiołok Sośwa—3.IV.42 r.

Świderska Bronisława z domu Dybkowska, żona st. ogniomistrza Mariana: Kustanajskaja obłast, Mendygarynskij rajon, posiołok Wiedenka—3.IV.42 r.

Szymańska Bronisława żona mjr. Edwarda: Kustanajskaja obłast, Fiodorowskij rajon, Banowka—9.IV.42 r.

Telecka Stefania: Semipałatyńsk, ulica Kalinina 161—31.III.42 r.

Tromszczyńska Karolina, z domu Pieczkiewicz-Wadowska, matka sierżanta Czesława: Bułajewskij rajon, Omskaja żel. doroga Czystowskij ziernosowchoz nr. 3—3.IV.42 r.

Wróbel Helena żona ppor. Tadeusza: Semipałatyńsk, Kożzawod barak 5—9.IV.42 r.

Zawada Ewa z domu Teper żona kapitana Aleksandra: Akmolinskaja obłast, stancja Atbasar, Montażnyj Pojezd 39—8.IV.42 r.

Ziembińska Helena, matka Ryszarda: Semipałatyńskaja obłast, Zaton, Kożzawod Mielnica 12—3.IV.42 r.

KURS SŁUŻBY SPOŁECZNEJ

Stowarzyszenie Służby Społecznej Kobiet Polskich w porozumieniu z Międzyalianckim Kobiecym Komitetem Doradczym zawiadamia, że *termin rozpoczęcia się zapowiedzianego Kursu Służby Społecznej dla Kobiet Krajów Sprzymierzonych*—który odbędzie się w Londynie, w Hamilton House, Bidborough Street, W.C.1—*został przesunięty na dzień 1-go czerwca* 1942, *a termin zakończenia kursu na dzień* 31 *lipca* 1942.

Wpisowe na kurs całkowity wynosi £10 od osoby, na kurs częściowy /wykłady od godz. 6 do 7.15 i wycieczki/—dla osób nie mogących poświęcić całego dnia—£3.3.0. Suma ta nie pokrywa kosztów wycieczek. Przewiduje się możliwość starania się o ulgi 50% lub 100% dla osób które nie będą mogły pokryć kosztów wpisowego same.

Podania o przyjęcie na kurs winny być sporządzone na formularzu, który na żądanie pisemne lub telefoniczne będzie przesłany pocztą przez Zarząd Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet Polskich c/o Grove Hall Court, flat 89, Hall Road, N.W.8. Tel: MAI 6030. Informacje telefoniczne codziennie w godz. 9-11 rano. Wypełnione formularze należy odesłać pod powyższym adresem do dnia 12 maja b.r.

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.